

Nr 5 (34)
2008



Zadanie dofinansowane
za środków MKiDN
w ramach programu
operacyjnego
"Promocja czytelnictwa"

ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Apel uczestników Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” do najwyższych władz ustawodawczych i wykonawczych Rzeczypospolitej Polskiej

Pisarze zgromadzeni na piątym Międzynarodowym Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju wyrażają głęboki niepokój w związku z narastającym kryzysem w polskiej kulturze.

Maleje świadomość językowa, obniża się poziom czytelnictwa oraz nauczania literatury w szkołach, wywołany, między innymi, rozbięciem kanonu literatury polskiej. Działania takie prowadzą w konsekwencji do utraty tożsamości narodowej. Burzą fundamentalną więź tworzącą naszą kulturę narodową.

Zwracamy się do Sejmu i Senatu RP, Prezydenta i Premiera RP, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministra Edukacji Narodowej, marszałków sejmików wojewódzkich, wojewodów, starostów, prezydentów miast, burmistrzów i wójtów z apelem o pomoc w przywróceniu właściwego miejsca współczesnej literaturze polskiej w życiu społecznym.

Apelujemy, aby media publiczne kształtujące świadomość Polaków zostały zobowiązane do stałego popularyzowania literatury naszych poprzedników i współczesnych polskich twórców.

Domagamy się przywrócenia wpływu wszystkich związków i stowarzyszeń twórczych na treści programów mediów publicznych oraz zapewnienie mecenatu nad upowszechnianiem literatury w placówkach edukacyjnych i kulturalnych.

Obowiązkiem władz państwowych i samorządowych jest udzielanie pomocy i wspieranie finansowe imprez publicznych związanych z literaturą (konkursów, festiwali, sympozjów), zarówno o charakterze lokalnym, jak i krajowym oraz międzynarodowym.

Dla realizacji powyższego apelu postulujemy:

1. Utworzyć Narodowy Instytut Wydawniczy utrzymywany przez państwo, którego celem będzie wydawanie wyłącznie literatury polskiej: klasyki i dzieł współczesnych.

2. Powołać ogólnopolskie pismo literackie (tygodnik) pub-



„Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju. Fot. Elżbieta Musiał

likujące poezję, prozę, eseistykę i krytykę literacką – integrujące środowiska twórcze.

3. Wprowadzić do polityki kulturalnej państwa elementy, na przykład systemu skandynawskiego, polegające na wspieraniu twórczości rodzimej. System ten zobowiązuje biblioteki do obowiązkowych zakupów książek współczesnych pisarzy. W ślad za tym do bibliotek winny trafić stosowne środki.

4. Wprowadzenie do zespołu sterującego w Instytucie Książki przedstawicieli wszystkich ogólnopolskich organizacji i związków pisarskich.

Rada Ministrów powinna niezwłocznie spowodować, aby Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, traktując to jako swój obowiązek, przywrócił wstrzymaną stałą pomoc finansową w postaci świadczenia lektorskiego dla niewidomych i ociemniałych pisarzy, aby mogli oni zatrudnić wykwalifikowanego asystenta osobistego, co w pokaźnym stopniu rekompensuje brak wzroku, umożliwiając wysoką sprawność twórczo-zawodową niewidomego pisarza w życiu publicznym i artystycznym.

Polscy uczestnicy Festiwalu

Polanica Zdrój, 16 listopada 2008 r.

Polecamy w numerze:

- s. 3 Rozmowę z Ireneuszem K. Szmidtem o festiwalach
- s. 10 Humoreskę „Sąd nie-Ostateczny” Alfreda Siateckiego
- s. 13 Wspomnienie Romana Habdasa o Marii Przybylak
- s. 18 Nowi członkowie ZLP
- s. 19 Refleksja powarsztatowa Beaty Klary
- s. 24 Obraz Wojciecha Kossaka w Gorzowie

Marek Grewling

Nasza kolonia karna

Gdy słuchałem listopadowych werbli przypominających o wolności państwowej, przemknęło mi przez myśl, czy aby te hasła, długie przemowy, barwne korowody i cała jakże głośna hucpa nie zagłuszają pytania o to co najważniejsze. Pytania, na które coraz mniej ludzi ma czas i ochotę odpowiadać. A odpowiedź na tę właśnie kwestię stanowi podstawę ludzkiego szczęścia. Mam na myśli kwestię dotyczącą wewnętrznej wolności człowieka.

Lektura „Kolonii karnej” Franza Kafki dostarcza niebanalnych doznań. Jest to krótkie opowiadanie, jednak autor pomieścił w nim najważniejsze odpowiedzi na egzystencjalne problemy człowieka.

Oto do położonej nie wiadomo gdzie kolonii karnej zawitał podróżnik, który przybywa – zgodnie z matrycami ludzkiego losu – nie wiadomo skąd. Jest obserwatorem, ma też jednak pewien wpływ na to, co tam się dzieje. Przypadek odgrywa u Kafki niebagatelną rolę. Wszystko związane jest z akcydentalnością, dokładnie tak jak w życiu ludzkim. Prominentny oficer kolonii karnej oprowadza podróżnika i przedstawia mu zasady życia w tym nieprzyjaznym miejscu, osadzonym przez autora w jakichś subtropikalnych rejonach świata. Podróżnik dowiaduje się, że „podstawowa zasada brzmi: wina zawsze jest niewątpliwa”. Tutaj każdy może zostać skazany. „Zawiadomienie go o wyroku nie jest potrzebne. Pozna go przecież na własnym ciele”. Kara zaś jest okrutna i długodystansowa. Jej nieuchronność jest nieodwołalna. Kara jest synonimem cierpienia. W tym strasznym miejscu nie ma złudzeń. Każdy, kto tu mieszka, może zostać ukarany, wszak taka jest podstawowa zasada, a skazanemu „nie dano żadnej sposobności obrony”. Aby dotkliwość kary była jak najbardziej dojmująca, jeden z naczelników kolonii skonstruował specjalną maszynę, która pochłania skazańca, a do tego przy pomocy specjalnych igieł i ostrzy wykrawa na jego skórze szczegółowy opis winy. Z lektury dowiadujemy się, że winy wygrawerowane żywcem na ciele oskarżonych są banalne i nijakie w porównaniu do skali okrucieństwa kary. Za to sama maszyna służąca do torturowania jest dziełem sztuki i zarazem obiektem czci dla tych, którzy się nią posługują. Troska o jej stan, o jej sprawność, pochłania bez reszty konstruktora, jego asystentów i następców. Maszyna przemocy i bólu jest dumą kolonii karnej. Jak się okaże, za tę maszynę gotowi są nawet umrzeć. Oto perwersja i sadyzm, swoiste sacrum połączone ze sztuką zadawania bólu. Czy taka sytuacja odpowiada mieszkańcom kolonii karnej? Oficer dokonujący introdukcji podróżnika mówi bez osłonek: „Ten sposób dokonywania straceń nie ma już w naszej kolonii zwolennika. Ja jestem jego jedynym rzecznikiem”. Z lektury bardzo wyraźnie wynika, że komuś zależy, żeby martyrologium trwało nieprzerwanie. Naczelnicy kolonii niepodzielnie panują nad ciałami i duszami jej mieszkańców, naczelnicy są ostateczną – samozwańczą przy tym – racją i autorytetem. Nikt nie stawia kwestii, czy ktoś jest winny. Wszak panuje zasada podstawowa, że wina jest zawsze niewątpliwa. Władcy tego strasznego miejsca decydują jedynie, kiedy tę winę ujawnić i ukarać wywołanego spośród mieszkańców nieszczęśnika. W kolonii nikt nie ma prawa czuć się bezpieczny.

Najważniejszym obiektem kolonii karnej jest przedziwne dzieło sztuki technicznej – aparat do wymierzania kary. Bo kara jest z kolei zasadą relacji panujących w tej społeczności. Maszyna zajmuje tam najważniejsze miejsce w znaczeniu topologicznym i mentalnym wszystkich. Konstruktor aparatu, wprawdzie już nieżyjący ko-

mentant, nie pozostawił jednak złudzeń swoim epigonom, którzy mogliby mieć jakieś złudzenia lub nadzieje na to, że kiedyś nikt nie będzie ich oskarżał. Oskarżenie nabiera magicznego wiekuiętego wymiaru. Oskarżenie jako arche i zasada istnienia tego miejsca w połączeniu z wymyślnym tworem ludzkiego geniuszu – aparatem do tortur – nabierają metafizycznego wymiaru. Dlatego ów pierwszy komendant kolonii i zarazem konstruktor aparatu kazał wyryć na swoim nagrobku przejmujące motto o religijnym podtekście: „Po pewnej liczbie lat komendant zmartwychwstanie”.

Tak więc wpojenie ludziom poczucia winy i nieuchronności kary, a także konstrukcja owej maszyny, która winę precyzuje, nazywa i wymierza karę, tworzą podwaliny tego społeczeństwa.

Tak oto od metafor literackich doszliśmy do rzeczywistego przełożenia kolonii karnej na życie społeczeństw i na nasze jednostkowe życiorysy. Bo odkryjemy nagle, że jak ów kafkowski podróżnik każdy z nas jest wędrowcem, który całkowicie przypadkiem znalazł się tu, gdzie teraz jest. Tak naprawdę nie wiedząc skąd przychodzi, a zarazem nie zna portu docelowego wędrowni. Czy będzie on w niebie, czy będzie w nicości? Tajemnica. Cel podróży bohatera nie zostaje podany. Natomiast znamienne jest, że podróżnik opuszcza kolonię wtedy, gdy mit wszechmocnego aparatu do nazywania win i wymierzania kar zostaje przez niego obnażony, a maszyna ulega zagładzie. Przecież to właśnie teraz dopiero można zacząć żyć bez strachu przed mitem, można budować jakąś nową rzeczywistość, która będzie przyjazna ludzkiej wolności. Właśnie w tym momencie okazuje się, że trzeba odpłynąć, a imię portu docelowego jest nieznane i nie można ze sobą nikogo zabrać.

To stanowczo za późno – chciałoby się rzec. Rodzi się też dramatyczne pytanie. Dlaczego muszę marnować całe życie w tym egzotycznym miejscu? Bohater opowiadania przeczuwał, że otaczająca go [nie]sprawiedliwość, nad którą czuwają kolejni komendanci, jest mitem i tworem przebiegłych ludzi, zapewniających sobie w ten sposób rząd dusz nad społecznością kolonii karnej. Niestety, wyzwolenie od więzów następuje zbyt późno – jak to zwykle bywa. Czy obywatele tej krainy żyją w permanentnym strachu? A czy my współcześni myślimy na co dzień o zniewoleniu i wyzwoleniu? Ilu jest takich, którym chce się przeciwstawić i jak najprędzej odpłynąć z tej antytopii? Tak, z antytopii, wszak współczesna kolonia kwitnie w najlepsze. Nie leży gdzieś daleko w podzwrotnikowych regionach. Ona jest też tu. Jej maszyna, ów genialny aparat do wyszukiwania win i wymierzania kar przypomina nam, że jesteśmy niewolnikami – ku ucieście i wymiernym zyskom kolejnych naczelników. Aparat działa sprawnie, przyprowadzając o dreszcze strachu jedynie tych, którzy dostają się w jego paszczę. Reszta udaje, że nie ma problemu, że życie toczy się normalnie, a bezprawne praktyki tych, co wzięli w posiadanie naszą winę i niewinność i którzy wmawiają, że do nich należy władza skazywania i przebaczenia, są czymś normalnym. Właśnie. Czyżby? Jednak tak chyba jest, bo nikt nie próbuje odpłynąć z kolonii karnej wymuszonych przekonania na ład wolności. Wierzmy, że najlepiej pozostać na tej wyspie niewoli i czekamy na owego pierwszego komendanta, który choć nieżyjący, to straszy swoim powrotem.

O czym więc rozprawia Kafka proroczo i przejmująco zarazem? Czyż nie o naszej wewnętrznej wolności?

Ukraina, Warszawa, Polanica i satyrycy

Rozmowa z Ireneuszem K. Szmidtem
– prezesem Zarządu Oddziału ZLP w Gorzowie

– Byłeś ostatnio na trzech imprezach literackich: w Dniepropietrowsku na Ukrainie, w Warszawie na XXXVII Jesieni Poetyckiej i w Polanicy Zdroju na V Festiwalu „Poeci bez granic”. Porozmawiajmy o wrażeniach z tych spotkań. W czerwcu na Ukrainie odbywały się Dni Tarasa Szewczenki...

– Reprezentowałem na nich Zarząd Główny Związku Literatów Polskich. Szewczenko to pisarz ogromnie ceniony, twórca literackiego języka ukraińskiego i propagator tak charakterystycznych cech Ukraińców, jak: postawa buntownicza, wierność zasadom, waleczność itp. Na Ukrainie co roku odbywają się Dni Szewczenki, tyle że w coraz to innym mieście. W tym roku były w Dniepropietrowsku.

– To miasto przez wiele lat było miastem zamkniętym, niedostępnym dla obcokrajowców.

– Bo tam produkowano radziecką broń nuklearną. Teraz jest wielkim miastem dynamicznie się rozwijającym, młodym, ekspansywnym, głównie dzięki funduszom powracających tu z Izraela ukraińskich Żydów. Dość powiedzieć, że właśnie tam oddano już do użytku pierwszy stadion piłkarski zbudowany na Euro 2012. Dniepropietrowsk leży ok. 600 km od Kijowa, dokąd dojechałem pociągiem prosto z Rzepina. Dalej, razem z innymi zagranicznymi i miejscowymi pisarzami z Kijowa jechaliśmy już autokarem, co pozwoliło mi podziwiać malownicze krajobrazy doliny Dniepru. One także urzekły carycą Katarzynę II, która tę trasę przemierzała złotą karocą, by objąć swoje nowe miasto zbudowane dla niej przez generała Potiomkina. Obserwowałem zmiany w pejzażu mijanych miast, jakie przyniosła cywilizacja XXI wieku i parcie do UE. Niestety, nie dotyczy to jeszcze dróg. Jazda była kręta i długa, kierowca dwukrotnie zablądził.

– A jaki przebieg miały obchody?

– Czterodniowy program był bardzo bogaty. Do tych Dni przygotowywano się bardzo starannie: wydano nie tylko na nowo opracowane utwory poety, ale wiele publikacji krytycznych o epoce i o samym twórcy. Miałem wrażenie, że tymi Dniami żyje całe miasto. Jak o najważniejszym wydarzeniu informowały o nich prasa, radio i telewizja. Odbywały się liczne sympozja, a także zorganizowano wiele spotkań z czytelnikami. Ja



Album wydany z okazji Dni Tarasa Szewczenki w Dniepropietrowsku

miałem spotkanie w szkole teatralnej. Wcześniej kilka moich wierszy przetłumaczono na język ukraiński, ale poproszono mnie także o ich przeczytanie po polsku, jako że nasze języki są przecież zbliżone. Miałem bardzo sympatycznego opiekuna, Sergieja Borszczewskiego, poetę z Kijowa polskiego pochodzenia.

– W kontaktach pomagała ci zapewne znajomość języka rosyjskiego.

– Tak, ale tylko do percepcji języka ukraińskiego. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, doskonale rozumieli mój polski język.

– A czy taka impreza była także okazją do prezentacji ludowych tradycji ukraińskich?

– Jak najbardziej. Tam przywiązuje się wielką wagę do kultywowania folkloru, do czerpania z niego pełnymi garściami. Były więc nie tylko prezentacje literatury o ludowych korzeniach, ale także tradycyjne potrawy, pieśni, koncerty na starych ukraińskich instrumentach itp. Choć inwazja światowych sieci handlowych i oferta towarów jest taka sama jak w Polsce, to jednak tam przywiązuje się zdecydowanie większą wagę do akcentowania ukraińskości na wielu płaszczyznach. Nie tylko w wysokiej kulturze, np. literackiej, ale także w życiu codziennym. Media pełne są Ukrainy: w telewizyjnych dziennikach, reportażach, relacjach słyszy się to słowo w niemal co drugim zdaniu. Myślę, że w ten werbalny sposób Ukraińcy utwierdzają w sobie młodą niepodległość swojej ojczyzny.

– Co z tamtego wyjazdu przeniósłbyś na polski grunt?

– Z perspektywy Dni Szewczenki widzę, że w Polsce nie umiemy korzystać ze wspaniałych zasobów narodowej kultury, zwłaszcza z dorobku naszych wielkich pisarzy. Potrafimy ich za to rugować z kanonów edukacyjnych. Tam pisarze mają jeszcze powszechny szacunek czytelników i władz. Nie tylko wielcy umarli, ale i współcześni. Oni są przecież lub będą kolejnym ogniwem narodowej tradycji, którą przenosi przede wszystkim literatura. Trzeba o nią dbać, upowszechniać wszystkimi możliwymi mediami i ludźmi, którzy profesjonalnie pracują na rzecz kultury. Trzeba od nowa przemyśleć sprawę dystrybucji książek do księgarni (niezapomniana Centralna Składnica „Domu Książki”), bo hurtowników w dobie gospodarki rynkowej interesują jedynie bestsellery. Trzeba zachęcać i wspierać finansowo inicjatywy społeczne, instytucje kultury i oświaty do organizowania różnorodnych imprez propagujących wartościowe dzieła literackie i ich twórców (np. festiwali teatrów poezji).

– Od 37. lat w październiku odbywa się jedna z najważniejszych imprez literackich w Polsce – Warszawska Jesień Poezji, na którą jesteś zapraszany nie tylko jako szef gorzowskiego oddziału ZLP, ale jako poeta.

– Przede wszystkim poeta, bo program wiąże się wyłącznie z poezją. Zarząd Główny ZLP – organizator – uznał, że w czasach, kiedy tomiki poetyckie wydawane są w małych nakładach i czytaniem wierszy zajmuje się niezwykle wąskie grono odbiorców, trzeba szukać innych dróg dotarcia do odbiorcy. Jesień właśnie jest okazją do prezentacji wierszy w szkołach na lekcjach poetyckich,



Biesiada poetycka u Wojciecha Siemiona. Fot. K Konecka

klubach, domach kultury, do organizacji otwartych imprez w Muzeum Literatury i Domu Księgarza z udziałem polskich i zagranicznych poetów. W ramach Jesieni odbywają się wystawy, koncerty poetycko-muzyczne, recitale poezji śpiewanej. Na wieczornych i nocnych spotkaniach w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, tuż obok Kolumny Zygmunta III Wazy, w dworku Wojciecha Siemiona w Petrykozach, wiersze mówi się lub śpiewa samemu lub oddaje się w ręce i usta aktorów. Niezrównanym ich interpretatorem jest ciągle w wielkiej artystycznej formie właśnie Wojciech Siemion. Z tej okazji Warszawa bardziej żyje poezją niż co dzień, ale myślę, że daleko jej jeszcze do takiego nasycenia literaturą, jak to miało miejsce w Dniepropietrowsku z okazji Dni Szewczenki.

– Dlaczego jeździsz na Warszawską Jesień, choć koszty podróży organizatorzy pokrywają jedynie w połowie? Co ona Ci daje?

– Od kilku lat systematycznie patroni ministerialni obcinają dotacje na tę jedną z najważniejszych literackich imprez w Polsce. Mimo to Jesień – jak w przyrodzie – w końcu zawsze nadchodzi. Lubię tam jeździć, choćby po to, żeby zaznaczyć obecnością swoje twórcze jeszcze istnienie, aby spotykać kolegów-poetów nie tylko z naszego kraju, posłuchać ich wierszy i przemyśleń na temat funkcji i istoty współczesnej poezji. Jest to także okazja, by pochwalić się tym, co robimy w Gorzowie, a jesteśmy dobrze oceniani. Bardzo lubię także imprezy towarzyszące Jesieni. Na przykład biesiady poetyckie z czytaniem wierszy w Petrykozach, w dworku aktora Wojciecha Siemiona. Tam zawsze jest niezwykle nastrój, a w tym roku został spotęgowany, bo spotkanie odbywało się nocą. Gdy Wojtek przeczytał mój wiersz pt. „Teatralność”, sam byłem zaskoczony jego urodą. Wracam zawsze z walizką nowych książek, które mi ofiarują koledzy z innych miast, a kupić ich przecież nie sposób. Długo jeszcze mam potem co czytać.

– Od pięciu lat w listopadzie Zarząd Oddziału we Wrocławiu organizuje w Polanicy Zdroju Festiwal „Poeci bez granic”. W tym roku także w nim uczestniczyłeś. Jakie wrażenia?

– Dopiero wróciłem, wrażenia więc są bardzo świeże. To krótka, trzydniowa impreza. Prezentowaliśmy tam swoje utwory, uczestniczyliśmy w lekcjach poetyckich, rozmawialiśmy o przemianach w języku poetyckim, a także stworzono nam okazję do obejrzenia zabytków Bystrzycy położonej w pięknej Kotlinie-Kłodzkiej. Zasmuciłem się stanem tych zabytków murszejących z biedy miasteczka, którego mieszkańcom odebrano setki miejsc pracy, likwidując jedną z największych fabryk zapalek. Pozostało po niej jedynie Muzeum Filumenistyczne.

– W Gorzowie przed laty była próba stworzenia podobnej imprezy, na której spotykałoby się pisarze z całego kraju, ale po bodaj trzech edycjach upadła. Może dlatego, że nie była to samodzielna impreza? Jedyne gościliśmy w teatrze i na kolacji autokar poetów przywiezionych z Poznańskiego Listopada Poezji. Czy myślisz, że u nas warto zorganizować podobną imprezę?

– Mamy w Gorzowie ważną imprezę literacką, czyli Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Zdzisława Morawskiego, na którego finał przyjeżdżają laureaci, a są to często twórcy ze sporym dorobkiem. Od dwóch lat dwukrotnie (na obrady jury i na finał) w Gorzowie goszczą jurorzy, twórcy ze znaczącą pozycją w literaturze. Myślę, że można by skorzystać z obecności jednych i drugich i zorganizować nie tylko tę finałową imprezę, podczas której zresztą goście nie mają wiele do powiedzenia. Konkurs zrodził się, gdy jeszcze nie było w Gorzowie Związku Literatów Polskich, nie należymy więc do grona organizatorów i nie mamy w tym względzie wiele do powiedzenia. Drugą dużą i widoczną w mieście imprezą o charakterze ogólnopolskim jest Noc Poetów



Promenada zdrojowa w Polanicy. Bohater wywiadu wśród gołębi. Fot. Elżbieta Musiał

organizowana przez RSTK na początku ich interdyscyplinarnych warsztatów, przed wyjazdem do Garbicz. Ta impreza zdobyła sobie pozycję w mieście, ma wielu uczestników. Natomiast lekcje poetyckie odbywają się w Sulęcinie, bo tam bliżej z Garbicz. Przyznam, że ciągle myślę o wcieleniu w życie pomysłu Tadeusza Szyfera i zorganizowaniu spotkań autorów-satyryków ze szczególnym uwzględnieniem twórców aforyzmów. Mamy w Gorzowie kilku dobrych satyryków, a specjalistycznej imprezy dla tego typu twórców nigdzie nie ma. Jestem przekonany, że publiczność chętnie by uczestniczyła w spotkaniach z satyrykami, choć oni mówią o sobie, że są najsmutniejszymi ludźmi świata. By temu zaprzeczyć, już zapowiadam, że ostatni tegoroczny, grudniowy numer Pegaza Lubuskiego będzie poświęcony niemal w całości satyrze. Między innymi dla uczczenia 50. rocznicy pracy twórczej Janka Grossa.

Satyrycy i inni autorzy z poczuciem humoru ostrzcie pióra i ślijcie swe teksty na adres e-mailowy: wag.arsenal@wp.pl. Zapraszam także na te łamy twórców żartów rysunkowych na wszelkie tematy dotyczące literatów i literatury. Macie czas do 10 grudnia!

Rozm. Krystyna Kamińska

Kazimierz Furman

* * *

*U stóp twej góry
Stopy swoje stawiam
Wcale nie jesteś tak wysoko
Ta góra powinna nieba sięgać
Albo zejść pomiędzy ludzi*

*Wiem
Wiara wymaga poświęceń
Tak byś powiedział
Ale pochodzę z innego kraju
Gdzie twoja świętość znana jest nielicznym
A o twoich cudach prawie nikt nic nie wie
Masz też swój klif
Jak odludek stoi w oceanie
Można go osiągnąć tylko wzrokiem
I wyobrazić sobie świętość tych skał
Wziąłbym kawałek
I obnosił jak relikwie
Lepsze to od obrazka
Figurki z miejscowej cepelii
Albo wody święconej
Aż sanktuarium w Knock
Która cieknie z miejscowego wodociągu*

*Kogo i czego jeszcze jesteś patronem prócz Irlandii
Tych krów owiec baranów
Tych wzniesień i pustkowiec
Brzegu oceanu
Dawnych pasterzy
Jestem z innego kraju
Być może jest to kraj zacofany
Gdzie ludzie wierzą w łzy Matki Boskiej
Spływające po szybie
W Matkę Boską
Której wizerunek widzieli na korze drzewa
W ogóle w moim kraju
Ludzie mają słabość do Matki Boskiej
Prawie każda wieś miasteczko miasto ją czci
Rokitno Rokitnicką
Licheń Licheńską
Częstochowa Częstochowską*

*Ja się w tym wszystkim gubię
Chyba każdy
Bo gdy się poważnie zastanowię
Dochodzę do przykrego wniosku*

*W moim kraju jest nadprodukcja świętych
I miejsc świętych
Jak w greckiej mitologii
Patronują święci górnikom hutnikom
Młynarzom piekarzom marynarzom i rozbitkom
Nieudacznikom
Bogatym i biednym*

*Urodzonym i nie-
Poświęcone są stadiony i więzienia
Kawałki autostrady
Trumny
Wystarczy trochę wody z kropidła
Kilka słów i pacierz*

*Takie i temu podobne obrządki
odbywają się dziesiątki,
setki razy w ciągu roku.
Naród bardzo sponożniał. I trwa to
od trzydziestu lat.*

*U stóp twej góry
Przybysz z obcego kraju
Chce zrozumieć swój kraj*

Ty tego nigdy nie zrozumiesz

Castlebar, 24.09.2008

* * *

*Człowiek u schyłku życia
Planuje sobie na sobotę
Długi spacer
Wyjście do teatru
Późną kolację przy świecach*

*W niedzielę po kościele odwiedzi wnuków
Odpocznie na działce przy piwie
Spotka się ze znajomymi*

*Jest pełen optymizmu
W przyszłym roku
Pójdzie wreszcie na kurs prawa jazdy
Podłączy się do internetu
I zacznie wreszcie biegać
By schudnąć*

*Do tej pory nie miał na nic czasu
Życie pędziło z dnia na dzień
Jak peleton kolarski
I nim się zorientował
Okazało się
Że wszystko musi zaczynać od nowa*

*Człowiek u schyłku życia
Zaczyna oddychać*

Castlebar, 28.09.2008

Milosz Kamil Manasterski

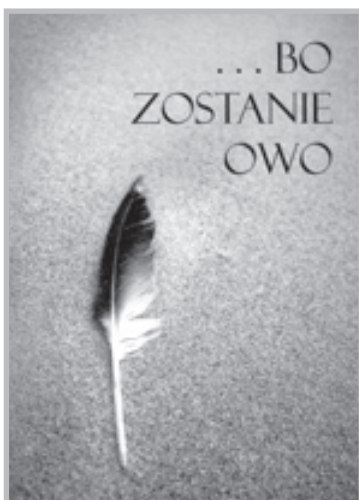
Bez skandali i celebrytów, a jednak ważna

Za nami XXXVII Warszawska Jesień Poezji. Rozpoczyna się czas podsumowań i dyskusji. Czy jesteśmy zadowoleni z tegorocznej edycji imprezy? Czy była ona potrzebna? Czy należy dalej walczyć z przeciwnościami i starać się o 38. edycję festiwalu poetyckiego w przyszłym roku?

Program Warszawskiej Jesieni Poezji nie był szczególnie spektakularny, zaś na tle innych imprez literackich (czy pseudoliterackich) w stolicy wyglądał wręcz archaicznie. Nie było przecież żadnych wydarzeń z gatunku performance typu palenie książek niskonakładowych na placu Zamkowym czy skoków na banjo połączonych z recytacją haiku. Żaden uczestnik WJP nie biegł w neglizżu po Nowym Świecie w ramach promocji tomiku erotyków. Obyło się nawet bez skandali towarzyskich, uczestnictwa celebrytów, nie interweniowała policja ani straż miejska. Z perspektywy mediów było to więc wydarzenie nudne i bezsensowne.

A jednak istnieje wiele powodów, ażeby tę nudną i archaiczną w swej idei imprezę kontynuować, ba, nawet walczyć, by nabrała blasku w oczach dziennikarzy, literatów i czytelników. Postaram się cztery z nich wymienić.

1. Warszawska Jesień Poezji (to być może najważniejszy z argumentów) to dziesiątki lekcji poetyckich w warszawskich i podwarszawskich szkołach średnich, podstawowych i gimnazjach. Jedyna na tak szeroką skalę prowadzona akcja przybliżania setkom uczniów poezji i pokazywania żywych, istniejących, a nawet rozmownych i sympatycznych poetów. Uczniom, którzy mają więcej niż którekolwiek pokolenie wcześniej atrakcyjnych możliwości spędzania czasu wolnego w mieście, które tych możliwości zapewnia więcej niż jakiegokolwiek inne polskie miasto. Uczniom, dla których taka lekcja może być prawdziwym zwrotem w życiu – w sensie przewartościowania swojego stosunku do języka polskiego, literatury współczesnej, a dla niektórych nawet w wyznaczaniu sobie życiowych celów. Gdyby Warszawska Jesień Poezji sprowadzała się tylko do spotkań w szkołach poetów z całej Polski i licznych gości z zagranicy – to już wystarczy, by mówić o wielkim sensie i wielkiej idei tej imprezy.



Antologia wierszy poetów uczestniczących w XXXVII WJP

2. WJP to przede wszystkim niezwykle okazja do spotkań poetów z czytelnikami, poetów z krytykami, poetów z poetami. I nie mam tu na myśli oficjalnych sesji, które są niewątpliwie ważne. Ale dla mnie ważniejszy jest ten – teoretycznie dodatkowy – aspekt towarzyski. Warszawska Jesień Poezji to jedyna w Warszawie okazja do nawiązania i odnowienia znajomości poetów zrzeszonych w licznych i odległych oddziałach Związku Literatów Polskich. Jesień to swojego rodzaju niezwykle sympatyczny nieformalny zjazd Związku, na którym, niejako przy okazji, poznajemy się, wymieniamy poglądy i doświadczenia, wspieramy, zaprzyjaźniamy, odnajdujemy to, co nas łączy, przekreślamy to, co nas dzieli, innymi słowy stajemy się bardziej Związkiem Literatów Polskich. Choć to ZLP tworzy Warszawską Jesień Poezji, to również

Warszawska Jesień Poezji tworzy Związek.

3. Warszawska Jesień Poezji to także okno na poetycki świat. Choć dziś tak wiele granic stoi otworem, to jednak swobodnie płyną nimi towary, a dużo mniej swobodnie literatura. Nasi zagraniczni goście obecni na Warszawskiej Jesieni Poezji to wartość nie do przecenienia.

4. Kolejny, choć wcale nie ostatni powód, dla których WJP jest wydarzeniem bardzo ważnym w polskim życiu literackim, jest ukazująca się co roku antologia. Świetnie zredagowana i pięknie wydana – jedyna tak bogata i tak regularnie ukazująca się antologia polskiej poezji współczesnej. Skarb zarówno dla współczesnych czytelników, jak i przyszłych badaczy literatury.

Wielką jest zasługą Prezesa Zarządu Głównego i Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich Marka Wawrkiwicza i jego najbliższych współpracowników, że mimo licznych problemów i niedostatku funduszy kolejna edycja poetyckiego festiwalu odbyła się. Co nie znaczy, że jestem wobec tego wydarzenia całkowicie bezkrytyczny. Na pewno warto przy organizacji kolejnej WJP powalczyć o zainteresowanie mediów, patronaty medialne, których ta wielka impreza właściwie nie miała. Na pewno warto postarać się, by przekaz dotyczący Turnieju Młodych Autorów był w przyszłym roku bardziej wyrazisty, głośniejszy i by skłonił on wielokrotnie większą liczbę uczestników do udziału w nim. Może warto pomyśleć, czy w większym stopniu nie należałoby zaakcentować w programie tzw. poezji śpiewanej, która może przyciągnąć wielu jej miłośników. Może WJP powinna być także pretekstem do wręczenia nagród i wyróżnień dla członków Związku Literatów Polskich, zarówno za działalność na polu artystycznym, jak i na rzecz naszej organizacji. Na pewno nie należy jednak zakładać, że za wszelką cenę trzeba próbować uczynić z Warszawskiej Jesieni Poezji imprezę masową. Elitarność i kameralność jest przecież wartością WJP, a o randze tej imprezy nie powinna nigdy decydować wyłącznie ilość wypełnionych miejsc na sali.



Poeci na ulicach Warszawy

Fot. Krystyna Konecka

**Wypowiedź redaktora naczelnego
oficjalnej strony ZLP – www.literaci.eu**

Stanisław Nyczaj

Poezja XXI wieku – czujnym sejsmografem spraw świata

Wiek XXI rozpoczął się (11 września 2001 r.) straszną hekatombą terrorystycznego ataku na wieże World Trade Center w Nowym Jorku. Zagrożona cywilizacja w szoku wstrzymała oddech. Stało się coś niewyobraźnego, czego nie można było przewidzieć realnie, co tylko mając grozą spustoszenia w filmowych obrazach *science fiction*, którym na zdrowy rozsądek nikt nie dawał wiary. Wiersz napisany pod wpływem tego zniecka spełnionego jak w złym śnie koszmaru pt. *Mój Manhattan* zakończyłem puentą:

Runął świat

Pękło serce

Opadły ramiona drogowskazów



Antologia towarzysząca imprezie

Rozpadł się więc nagle – jak te wieże wieńczące dzieło cywilizacji – świat wartości, z takim trudem odtworzony po apokalipsie drugiej wojny światowej i eksplozjach atomowych w Hiroszynie i Nagasaki. Co dalej? Zapanowała absolutna i druzgocąca konsternacja. Brakowało jakichkolwiek racjonalnych przesłanek dla wytłumaczenia przyczyn tak okrutnych form zmasowanego w jednej akcji uderzenia, które pochłonęło tysiące ofiar. Sparaliżował nas lęk przed następstwami eskalacji zbrodniczego absurdu, spotęgowany tragicznymi wydarzeniami w Madrycie i Londynie.

Irracjonalny charakter przyczyn (wypływających zwłaszcza z religijnego fanatyzmu pewnych odłamów islamu) jakby przywołał poetów do – poniechanej od czasów spontanicznej reakcji na drugą wojnę i faszyzm – misji intuicyjnego poszukiwania i odkrywania krętych dróg s p r a w c z e j prawdy. Rola ta stała się niemal wiodącym przywilejem i posłannictwem filozofii oraz literatury i sztuki, w tym i poezji. Poezji, która przez całe dziesięciolecie drugiej połowy XX wieku żywiła się raczej melancholijno-spokojnym lotem wyobraźni i niepoddaną jakiejś większej traumie refleksją.

To posłannictwo dociekania *ab ovo* splątanych niewiarygodnie tajników tej prawdy o naszej sytuacji w dezintegrującym się coraz boleśniej świecie zaczęło przywracać poezji dostrzegalne znaczenie, wyprowadzać jej funkcje z pasywnego pesymizmu w dynamiczny optymizm zdolności do rozpoznawania i ostrzegania, inwencji wyczytywanej z parabolicznych metafor, groteskowych wizji, aluzji dotkliwej ironii.

Już kiedyś Ernest Bryll zauważył, odpowiadając na pytania Andrzeja Dębrowskiego, że poeci w procesie tworzenia doświadczają szczególnego daru uczciwości, „pisząc wiersze są zwolnieni nawet z własnych poglądów. Piszą tylko to, co jest jakby w nich, co jest jakby we śnie. [...] ...Czasami sny poety są sprzeczne z jego przekonaniem. Natomiast pisząc poezję często przesuwają się granice jakby innego myślenia...”. Aż czuje się, że jest to wyrażane gorącą mową-pragnieniem dociekania i nazwania nowego wewnętrznego przeżycia.

Dla Andrzeja K. Waśkiewicza (krytyka i zarazem świetnego poety, czego dowiodły najnowsze jego tomy) poezja jest sejsmografem dziejących się spraw, „Ja o sobie i świecie, w którym żyję, dowiaduję się z własnych wierszy. I [na dodatek – S.N.] wcale nie jestem pewien, że je dobrze rozumiem”. To znowuż, jak tamto E. Brylla, niezwykle wprost otwarcie się poprzez poetyckie doświadczenie do wewnątrz i na otaczającą rzeczywistość z zaufaniem dla jego wiarygodności, wymagającej tylko rozszyfrowania znaczeniowego kodu. Nie jest to irracjonalizm mistyczny, lecz w akcie twórczego samopoznania wpisywanie w wiersz intencji z „doświadczenia przeżycia świata bez wstępnych hipostaz”, poprzez metaforyczną grę myśloobrazowych skojarzeń, opartych bardziej

na logice emocjonalnej, niż na sensach dających się uchwycić dyskursywnie. Logice częstokroć intuicyjnie nieomyślnej.

Czyli: zadaniem poezji jest nieliczące się z niczym drażnienie rzeczywistości.

Ciekawie potwierdza się to w obu funkcjach osobowości poety: stałej i zmiennej. Stałej w zrębie podstawowych przekonań światopoglądowych (ideowo-moralnych, estetycznych), zmiennej w miarę sumowania i emanacji nowych doświadczeń. I właśnie ta zmienność, korygująca elementy „stałego” zrębu, sprawia, że poezja jest nierozpoznawalną do końca tajemnicą. Na tym polega jej metafizyka – wszak nieirracjonalna, a z intuicyjną celnością poddająca w wątpliwość niesprawdzające się już, stereotypowe, zakrzepłe przeświadczenia.

Warto, znalazłszy się szczęśliwie w roli poety, poddać się temu ożywcemu prądowi zmian, zaś będąc w roli odbiorcy – podjąć trud cierpliwego rozszyfrowywania wierszowego kodu. Zapewne w tym kierunku będzie zdążyła ambitnie poezja naszego obecnego stulecia. Stając się czujnym i czujnym sejsmografem spraw otaczającego nas świata, okaże się człowiekowi duchowo nieodzowna.



Poeci przed pomnikiem Adama Mickiewicza

Fot. Elżbieta Musiał



Dom, w którym mieszkała Christa Wolf

Ten XIX-wieczny poeta otrzymał w Gorzowie uliczkę na dawnej Górze Wisielców (Galgenberg), na której wieszano czarownice. Łączy ona ulice Konstytucji 3 Maja, Żeromskiego i Chopina. U jej początku w latach 30. XX w., wtedy na piaszczystym pustkowiu, wybudowali dom państwo Ihlenfeldt, rodzice przyszłej pisarki – Christy Wolf. Przez wiele lat przy ulicy Asnyka mieszkał Wincenty Zdzitowiecki, który poświęcił jej wiersz. Niemiecka legenda głosi, że nad Górą Wisielców krąży widmo córki burmistrza straconej za to, że pewnemu polskiemu rycerzowi pokazała tajemne wejście do miasta. Inni byli przekonani, że widmo domaga się sprawiedliwości, bo nie była to zdrada, a wyraz miłości...

Jak było, nie wiadomo, ale na pewno o tej historii Adam Asnyk nie miał pojęcia.

Ten ciekawy poeta i dramaturg urodził się w 1838 r. Wzrastał w Kaliszu, atmosferze patriotycznego domu, jako że jego ojciec był uczestnikiem powstania styczniowego. W 1863 r. Adam Asnyk miał 25 lat i w następnym polskim powstaniu, w powstaniu styczniowym był członkiem Rządu Narodowego.

Nim rozpoczął on pisanie wierszy, już powstały największe dzieła polskich romantyków: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Gdy przestał pisać, nastąpiła kolejna erupcja polskiej poezji, rozpoczęli pisanie wierszy Tetmajer, Kasprówic, Przybyszewski. Dla pokolenia Asnyka najważniejszym wydarzeniem była klęska powstania styczniowego, a najważniejszym wyzwaniem – mozolne budowanie nowego porządku gospodarczego. Był to czas niedobry dla poezji; nie mieściła się ona w pozytywistycznym modelu życia, który preferował inne wartości: rozsądek, pracę społeczną, postęp. Asnyka ukształtowała poezja Mickiewicza i Słowackiego i niełatwo mu przyszło takie przewartościowanie. W jego wierszach młodzieńczych czytelny jest spór samego z sobą nie



tylko o wartości, ale o słownictwo i poetycki styl. I choć głowa opowiedziała się za racjonalizmem, nie opuszczała go nadzieja, że hasła poetów romantyzmu poprowadzą Polaków do nowego życia i wielkich czynów. Napisał to wyraźnie w wierszu „Na obchód Słowackiego” w 1882 r. A przecież pozostał w polskiej literaturze jako wyznawca rozsądku i systematycznej pracy, przekonania, że budowanie przyszłości to proces mozolny, wymagający wyrzeczeń. Ta wewnętrzna sprzeczność przyniosła mu określenie, że był romantycznym pozytywistą.

Natomiast związki z Młodą Polską, czyli formacją poetycką, która nastąpiła po Asnyku, są także wyraźnie widoczne. Artur Międzyrzecki twierdzi, że „Różowa chwilka” niedaleka jest od potocznych poczynąń następców, tyle że niektórzy drugorzędni poeci podobne „Różowe chwilki” sporządzali na smutno i czy-

nili z nich chwilki czarne. W wierszu „Szkoda!” z cyklu „Nad głębiami” i w innych wierszach o przemijaniu uczuć, marzeń i pragnień znajdujemy struny, które podejmie Leopold Staff. W „Abdykacji”, „Karmelkowym wierszu” czy „Przestrodze” wyraźna jest zapowiedź piosenek Boya z Zielonego Balonika. W strofach „Mirtów”, w „Tęsknocie” czytelny jest Tuwim z okresu młodzieńczej twórczości.

Adam Asnyk jest twórcą wielu tzw. słów skrzydlatych, czyli powiedzeń, które funkcjonują w języku, choć ich autora często już nie pamiętamy. Na przykład: „Między nami nic nie było”, „Gdybym był młodszy, dziewczyno”, „Każda epoka ma swe własne cele”, „Daremne żale, próżny trud”, „Trzeba z żywymi naprzód iść” i wiele innych.

Adam Asnyk zmarł w 1892 r. Właśnie ten rok uznano za początek nowej epoki literackiej – Młodej Polski. Najbardziej znane jego wiersze to: „Daremne żale”, „Do młodych”, „Gdybym był młodszy...”. Przypominamy mniej znane, ale równie reprezentatywne wiersze Adama Asnyka.



Adam Asnyk
piórkiem
Bogdana Butenki

XIII

**Przeszłość nie wraca jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci – jednak nie umiera;
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty dla siebie przybiera.**

**Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasných żywotów staje się kołyską.**

**Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,**

**Ich miłość, sława istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.**

(Z cyklu „Nad głębiami”)

XXIX

*Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność, i męstwo człowiecze,
Póki nam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,*

*To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije –
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.*

*Zginać on może z własnej tylko ręki
Gdy nim o władnie rozpacz senna, głucha,
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękkim –*

*I to zwątpienie, co szepcze do ucha:
Że jednym tylko lekarstwem na męki
Jest dobrowolne samobójstwo ducha.*

(Z cyklu „Nad głębiami”)

SZKODA!

*Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni,
A nikt nie zna ich barw świeżych
I woni.*

*Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni,
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.*

*Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą,
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.*

*Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać,
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać.*

*Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia.
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.*

KARMELKOWY WIERSZ

*Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczęciakom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.*

*Wierzyłem – zwyczajnie, młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć.
Że trocha serca kobiecie
Świetnej kariery na świecie
Nie może psuć.*

*Aniołków brałem na serio
I z śmieszną donkiszoterią
Wielbiłem lalki.
I gotów byłem, o zgrozo,
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!*

*Lecz dziś komedię salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.*

NA OBCHÓD
SŁOWACKIEGO

*Poeto! Oskarżono ciebie przed narodem,
Że kazaleś bezwładnym poruszać się bryłom
I po swej śmierci, niosąc pieśń jak sztandar przodem,
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wylot,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.
Jeśli to twoją winą, że budząca życie
Pieśń jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię
I na chwilę zwiększyła naszym nieszczęść brzemień,
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny –
Jeśli to twoją winą, że pchany rozpaczą
Naród chciał zerwać więzy – to możesz być dumny!
Ci, którzy ucierpieli najwięcej – przebaczą
I Polska ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla ciebie żalować wawrzynu,
Bo święte hasła twoje – to nie hasła chwili,
Co przypadnie marnie w ciężkich dniach rozbicia;
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.
Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Jednak cel postawiony mylnym być nie może.*

*Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czymże byśmy dziś byli my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.*

*Wprawdzie by nas żywiła szczodra polska gleba,
A płon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni,
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną, z losem pogodzeni,
Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha
I naród cały został bez serca i ducha...
Że tak nie jest – to twoja, o poeto, wina;
Więc potomność już wyrok ogłaszać poczyna
I laur, który od dawna tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń bierzesz z rąk młodzieży.*

Adam Asnyk

Alfred Siatecki

Sąd nie-Ostateczny

– Ten z kluczami i z brodą niczym Sokrates, to kto? – spytał Niedźwiecki.

– Witia, nie poznajesz świętego Piotra? Przecież byłeś w Rzymie na jego placu. A jak na placu to i w bazylice. Chyba że nie patrzyłeś na sufit. Gdybyś podniósł głowę, zobaczyłbyś świętego Piotra pędzla Michała Anioła. Pewnie wiesz, że trzykrotnie zaparł się Jezusa, a mimo to został Jego następcą. Piotr oznacza skałę, na której powstał Kościół. To imię nadał mu Jezus – odpowiedział Morawski, chociaż pytanie nie było skierowane do niego. Na tematy kościelne mógł dyskutować nawet z biskupami i wcale nie byłby tym mniej zorientowanym.

Żywoty świętych Morawski czytał przy okazji studiowania dziejów starożytnej Grecji. Kiedyś, siedział wtedy przy stoliku nr 1 w Empiku, idąca do księgarni Dowgielewiczowa szepnęła mu na ucho, że biskup gorzowski Wilhelm Pluta niedługo zostanie świętym. Jeśli nie świętym, poprawiła się widząc zdziwienie w jego oczach, to na pewno błogosławionym. Papusza tak twierdzi, a ona potrafi wróżyć, ma zatem informacje z pierwszej ręki. Ta prosta, aczkolwiek niesłychanie wrażliwa kobiecina zasługami wobec Kościoła i ludzi jest równa świętej Jadwidze, dodała.

Niedźwiecki szurając nogami puścił się za świętym Piotrem, który musiał czuć jego alkoholowy i tytoniowy oddech na swoich plecach, ale nie przystanął ani się nie obejrzał. Wszystko, co miał do objaśnienia, napisania, zmienienia, wyjaśnienia w jego imieniu ewangelistów. Teraz był tylko klucznikiem i jak każdy zaufany swego pana starał się trzymać język za zębami.

– Wasza Świątobliwość – Niedźwiecki chwycił go za rękaw tuniki i pociągnął tak mocno, że święty Piotr aż się zachwiał – długo tu będę bezczynnie kisił? Gdybym dostał kartkę papieru i pióro wieczne, napisałbym nieco pożytecznego. Może jeszcze jeden apokryf. I palić się chce. A pragnienie mam jak beduin na syryjskiej pustyni. Wiem coś o tym, bo z pierwszą żoną Alicją byłem w „W pobliżu raję”. Litości, Wasza Świątobliwość. Chociaż jedno piwko. Nie musi być lech czy tyskie, może być witnicki boss. Da się załatwić?

Święty Piotr pokręcił siwą głową, co oznaczało, że Niedźwiecki ani już niczego nie napisze, ani nie zapali i na pewno nie ugasi pragnienia. Zresztą z tym pragnieniem to był tylko taki mały wybieg. Jeśli dziś święty pozwoli na piwo, to może jutro nie będzie miał nic przeciw temu, abym skoczył po flaszkę luksusowej, wykoncypował sobie Niedźwiecki. Podobno w Zielonej Górze teraz tak destylują wódkę, że od samego jej zapachu muza pióro wodzi.

– Musiałeś, Witia, coś pogmatwać w „Sodomie, czyli Apokryfie Starego Testamentu” – prawie zachichotał pod nosem Morawski. – A może „Apokryf szósty”, który napisałeś, jak twierdzisz we wstępie, „na podstawie rękopisu znalezionej na górze Ararat”, podrzuciło ci KGB?

– Za „Sodomę...”, Zdzichu, dostałem Lubuski Wawrzyn Literacki w Zielonej Górze. To znaczy, że książka niczego sobie – bronił swego dzieła Niedźwiecki.

– Komuś musieli dać tę nagrodę, tym bardziej że oni w Zielonej Górze starają się traktować gorzowian jak swoich. Długo pisałem felietony do „Nadodrza”, a i zanim Maria zgodziła się zostać moją żoną, w dowodzie osobistym miałem zielonogórski adres.

– Jak i ja przez trzy lata – przypomniał Niedźwiecki, dumnie zadzierając głowę.

– Spode mnie, Witia, nie usunęli stołka redaktora naczelnego „Nadodrza”.

– A kto to zrobił?... Komuna. Bez podstaw pozbawili stano wiska, a ja tak się starałem, aby „Nadodrza” znaczyło więcej niż regionalne czasopismo społeczno-kulturalne. Gdzie pisał

felietony Makarewicz, co potem grał w orkiestrze Solidarności? A Waśkiewicza nie ukrywałem w redakcji? Powinni dać mi za to krzyż zasługi i przeprosić publicznie. Jak nic jestem ofiarą systemu totalitarnego – wyprostował plecy i jeszcze wyżej podniósł głowę, ale zaraz sobie przypomniał, że skoro komuna go mianowała na redaktora naczelnego, to i miała prawo zwolnić. A nigdy nie zwolniłaby, gdyby Morawski nie maczał w tym swoich palców. Kto napisał felietonik tak, że pierwsze litery w liniijkach czytane pionowo układały się w hasło „Precz z partią”? Żeby tylko napisał i śmiał się w kułak, ale on pochwalił się, jaki to kawał wyciął redaktorowi naczelnemu „Nadodrza”.

– Nie po to dali ci władzę, Witia, abyś nie palił kadzidła na ich cześć. Lubieś pochwały i zaszczyty. Podnosiłeś kieliszki z darmową wódką – Morawskiemu znudziło się przypomnienie takim jak Niedźwiecki, co zrobili dobrego, a co złego. Takie były czasy. Najsmutniejsze jest to, że nawet w oczekiwaniu na Sąd Ostateczny wielu totumfackich uważa się za ofiary systemu i wypina piersi do orderów. Ucichną, spuszcza uszy po sobie, gdy w tej sprawie wypowie się sędzia najsprawiedliwszy. Kiedy to będzie? Tego nawet święty Piotr nie wie, który lubił zagrać z Morawskim w szachy. Gdyby wiedział, między jednym a drugim matem ostrzegłby, no, przynajmniej kazał układać mowę obrończą. To może i Pan Bóg jeszcze się zastanawia, kiedy otworzyć bramę królestwa niebieskiego. Na razie odbywa się coś w rodzaju dochodzenia przygotowawczego przed właściwą wokandą, a wiadomo, że do kogo śledczy się nie przyczepi to i sędzia da mu spokój. – Cierpliwości, Witia. Jak mówił cesarz August, *festina lente*, co znaczy: spiesz się powoli.

– A nie mogę złożyć samokrytyki? – niecierpliwił się Niedźwiecki.

– „Jeżeli zaś sami siebie osądzimy, nie będziemy osądzeni” – powtórzył Morawski po świętym Piotrze. Nie dodał, że osądzone zostaną uczynki, a nie poglądy i przekonania. On też chodził na pochody, jeśli podpieranie się protezą prawej nogi można nazwać chodzeniem. Dawniej zapraszano go na trybunę honorową, nigdy jednak nie było dla niego miejsca w pierwszym rzędzie. Na tej jednej nodze stał z tyłu po to, żeby towarzysze mogli pochwalić się w komitecie centralnym, że oni również popierają sojusz świata pracy z kulturą i sztuką. Jednego roku zabrali go ze sobą aż do Woroneża, a to kilka godzin lotu samolotem, ze dwa razy zawieźli tuż za Odrę do Frankfurtu, wskazali miejsce obok Helmuta Preisslera, żeby było zgodnie z umową o wymianie gorzowsko-frankfurckiej. Sadzali go też za stołem prezydiálním w sali zebrania wojewody, stawiali na zielonym suknie butelkę wody i literatkę i kazali opowiadać, jak sobie wyobraża to czy tamto. Poeta ma krytyczne spojrzenie na rzeczywistość, rzucali jakby chcieli się wyłumaczyć, dlaczego go zaprosili. Mówił, chociaż wolałby to samo napisać, ale czy ktoś go słuchał, tego nie był pewien. Wyłączając stolik numer 1 w Empiku.

– Coś tak, Zdzichu, się zadumał? – spytał Rzeszewski, przez chwilę mający nadzieję, że jeśli święty Piotr pozwoli zapalić Niedźwieckiemu, to może i jemu zwróci fajkę.

Morawski nadal milczał, Świerczyński więc za niego odpowiedział:

– Mistrz ma pretensję do wszystkich, że pomijają jego zasługi dla miasta. Kto napisał: „Tu mój ocean i przystań, bosmanie”? Morawski. Że straganiarki „Są na zieleniaku, tuż przy Hawelańskiej”? A: „Wznosi mnie szary koncert schodów / Których ongiś nie lubiłem / I powtarzam za chórem gorzowian / – To są stopnie władz miasta donikąd”? Też z jego głowy i spod jego pióra.

– Nie pretensję, a honor swój mam i o żadne zaszczyty nie będę się dopominał – powiedział Morawski, czym jeszcze bardziej rozgniewał już i gniewnego Niedźwieckiego.

– Kto szuka radości, ten znajduje smutek.

Świerczyński machnął ręką i kontynuował:

– Prawda, Papusza była wielka. Należy się jej, żeby została patronką biblioteki. Dowgielewiczowej postawili skromny, ale zawsze pomniczek i mają gdzie składać kwiaty w kolejne rocznice jej śmierci. A twoje nazwisko jest wyryte jedynie na tablicy w alei sław przy katedrze, o którą wszyscy wycierają sobie zabłocone buty.

– Ogólnopolski konkurs literacki nosi jego imię – przypomniawszy Rzeszewski. – Jeszcze rok, dwa lata, a po mnie nawet i tyle nie będzie. Wnętrza, które zaprojektowałem z takim pietyzmem, za które wzięłem niemało forsy, niedługo zniszczą nowi właściciele restauracji, bo za dużo w nich drewna i ceramiki, a to niemodne. Teraz wszędzie barwiony plastik i gotowe segmenty z chińskich fabryk. Jeśli coś po mnie zostanie, to jedynie zapiski w protokołach z sesji rady miejskiej.

– I tak dużo więcej niż po mnie – stwierdził z nieukrywanym żalem Świerczyński. – Wszystkie domy, które zaprojektowałem, wnet się rozsypią albo je rozbiorą, a place sprzedadzą pod rezydencje. Pewnie i lepiej, że do tego dojdzie. Kto teraz stawia bloki jak przedszkolaki klocki? Przecież identyczne pudełka stoją w Szczecinie, Koszalinie, Międzyzrzeczu. Gdyby nie tablice przy wjeździe do Poznania, że to ulica Głogowska, myślałbyś, że jesteś na Sikorskiego w Gorzowie.

– A to była taka piękna ulica. Na przedwojennych widokówkach widziałem te balkony uczeplone kamieniem wzdłuż Richtstrasse, te kawiarenki we wszystkich barwach tęczy, te sklepy w stylu spóźnionej secesji i art-deco pełne wszelkiego dobra – wpadł w nostalgiczne wspominki Rzeszewski. – Dlaczego *krasnoarmiejcy* rozstrzelali akurat stare miasto, a nie Zawarcie czy Przedmieście Młyńskie? Nasi jeszcze im za to pomnik wdzięczności wystawili.

Święty Piotr znowu wyszedł zza masywnych drzwi, za którymi sędziowie śledczy prowadzili przesłuchania. Niedźwiecki natychmiast się podniósł, ale Morawski chwycił go za koszulę i pociągnął tak mocno, że kolega po piórze klapnął bezładnie na ławkę.

– Może tym razem by się udało – ofuknął go Niedźwiecki, doszedłszy do siebie. – Święty Piotrze, miej serce. Czy ty nie widzisz, jak ja się męczę? Hirka też suszy. Przy okazji to i Mietek by się napił, chociaż on w zasadzie abstynent. Za to pałacy.

– Nie zapominaj o Zdzychu – odezwał się Rzeszewski.

– Zdychu całe życie pił tylko herbatę i zakąsał kruchymi ciasteczkami.

– Za czyje grzechy tak się męczę? – lamentował Niedźwiecki.

– Za swoje, Witia, za swoje – powiedział Morawski. – I nie nazywaj tego męką. Ciesz się, że nie jesteś w piekle. Dopiero tam przeżywałbyś mękę. A tu jak u Pana Boga za piecem. Spokój, cisza, na głowę ci się nie leje i skwar nie dokucza, czasem święty Piotr rozbawi dowcipem. Znajomych można spotkać, wspominać żywych i pogadać. W każdym razie mnie się nie nudzi, a tkwie tu szesnasty rok.

– Mnie też jest jak przy stoliku numer 1, ale ja dopiero dwa lata tak waruję – westchnął Hirek i mrugnął do Morawskiego jakby chciał wyjaśnić, że na niego zawsze może liczyć.

– I mnie również nie jest źle, chociaż wolałbym już wszystko mieć za sobą. Jako dyplomowany projektant wewnątrz cenię, po pierwsze: ład, po drugie: prządek, po trzecie: harmonię – oświadczył Rzeszewski.

– Mamy dużo szczęścia, koledzy. Do piekła nie pasujemy, bo popełniliśmy zbyt mało grzechów. Zresztą, to nawet nie były grzechy, najwyżej efekty niedoskonałości ludzi. A czyż sam Pan Bóg nie jest bez winy, skoro dał każdemu z nas po taaakiej kobiecie? – Morawski zerknął na Niedźwieckiego, jakby chciał dodać, że jednak nie wszystkich to dotyczy. – Ci, którzy opuścili już czyściec,

mówią, że tłok tam większy niż na otwarciu Askany. A w niebie jeszcze nie wszystko gotowe na przyjęcie takich jak my.

– Zauważcie, że kolejka jest krótsza niż przed drzwiami prezesa spółdzielni mieszkaniowej, gdyście czekali na własne kwatery – pospieszył mu ze wsparciem Hirek. Lubił, żeby ostatnie zdanie padło z jego ust.

Tylko Niedźwiecki demonstrował niezadowolenie. Dopiero gdy usłyszał od Morawskiego, że Korsak już dawno jest po przesłuchaniu, teraz tylko czeka na zatwierdzenie decyzji, spuścił z tonu. Śledczy niewiele miał do powiedzenia na temat przewinień Korsaka. Ostatni polski nemrod, jak nazywano pana Włodzimierza, do Gorzowa przyjechał z Wileńszczyzny, a wcześniej urzędował w stolicy jako główny łowczy Rzeczypospolitej. Ledwie wstawiono mu biurko do pokoju w dyrekcji Lasów Państwowych, już go zwolniono za niewłaściwe pochodzenie. Na zewnątrz nigdy się nie buntował, a w środku aż w nim kipiało ze wzburzenia. Na szczęście Felicja, jego żona, jeszcze z Witebszczyzny, miała lek na uspokajanie nawet najbardziej nieopanowanych mężczyzn. Niedługo po śmierci żony zmarła jego jedyna córka, dlatego ziemskiego żywota dokonał w domu starców w Krakowie, nikomu nie wadząc i nie zawracając głowy swoimi problemami. Po dziesięciu latach dobrotliwi gorzowianie sprowadzili jego prochy na cmentarz przy ulicy Żwirowej.

– Dla Witii, dla mnie, dla Hirka i Mietka może nie być miejsca w niebie. Dla pana Włodzimierza musi być i to niedaleko pałacu królewskiego – stwierdził Morawski, a wszyscy przytaknęli jakby zagrali Korsakowi hymn wiecznej chwały.

– Papusza też pewnie już tylko zbiera kwiatuszki na skraju lasu i śpiewa te swoje piosenki – powiedział Rzeszewski. Lubił wymawiać jej nazwisko, wtedy jego głowa napełniała się pomysłami wystroju wnętrz restauracji, domów kultury, hoteli. Jako radny miejski wielokrotnie przekonywał swoich kolegów w radzie, że jedna Papusza znaczy więcej dla prestiżu Gorzowa niż tysiąc inżynierów w Stilonie. Ona jest tym dla światowej kultury rzymskiej, kim Jancarz dla sportu żużlowego. To jedyne nazwisko z Gorzowa, które znajduje się w najpoważniejszych encyklopediach i słownikach literackich. Złościło go, gdy nieliczni radni pytali, co takiego jest w poezji tej ledwie piśmiennej Cyganki. Odsyłał ich do listów Tuwima. No, skoro wielki Tuwim, to my poczekamy.

– A co wiecie o Dowgielewiczowej? – zaciekał się Niedźwiecki. I przypomniawszy im, że ona żyła tylko dwa tygodnie dłużej niż Papusza, pogrzeb też miała prawie królewski.

Wszyscy podnieśli wzrok, patrzyli na lewo, na prawo, Rzeszewski nawet założył okulary na nos, a Świerczyński wstał i kręcił głową niczym żuraw na budowie, ale w tłumie żaden nie dostrzegł tej damy, która umiała ugotować „Lepszy obiad”.

– Chyba nie smaży się w piekle – powiedział Niedźwiecki usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek Dowgielewiczowa podpadła władzom. – Gdyby chodziło o Hirka albo o mnie...

– Czasem spotykam tu Florka Nowickiego, Kazika Jankowskiego, Wieśka Strebejkę, Waldka Kućkę. Ireny nigdy nie widziałem – przerwał jego dywagacje Morawski. – Skoro już jest wyrok w sprawie Korsaka, wprawdzie jeszcze bez parafy Sędziego, Papusza też rozliczyła się ze swoich przewinień, a oni z jednego pokolenia, to i o Irenę powinniśmy być spokojni.

– Nie jestem tego taki pewien – rzekł Świerczyński.

– Jakie masz prawo osądzać panią Irenę? – skarcił go Rzeszewski.

Nawet nie spostrzegli, kiedy podszedł do nich święty Piotr. Podniósł palec i nakazał milczenie, bo od pewnego czasu w gorzowskim zakątku poczekalni było najgłośniejsze. Przeprasili, domyślając się, że ich głosy przedostają się do sali śledztwa. Pan Bóg już nie ma tak wyostrzonego słuchu jak w czasach, kiedy posłał Ducha Świętego do Galilei i kazał mu wybrać spośród tamtejszych dziewczyc tę, która wyda na świat Syna Bożego. Teraz niedosłyszany czy przyśniony zamiast ferować wyrok uniewinniający, skaże duszę na męczarnię w piekle.

Albo się zdenerwuje i wszystkich z Gorzowa wyśle do czyścica.

– Tak sobie myślę, że razem z nami powinien tu być Henryk – powiedział szeptem Morawski do Świerczyńskiego.

– Andabata? To znaczy Ankiewicz?

Morawski kiwnął głową i zaraz wyjaśnił, co miał na myśli:

– Gdyby Henryk nie pisał co tydzień „Listów z Palmiarni”, niewielu gorzowian wiedziałoby o naszym istnieniu. Ileż razy on mnie przepytował, nazywając to wywiadem na społeczne zapotrzebowanie czytelników gazety.

– Mnie też często maglował – Świerczyński wyprężył dumnie szyję.

– Myślicie, że mnie nie omijał? – odezwał się Rzeszewski, od pewnego czasu czegoś zasmucony.

– On wymyślił ten stolik nr 1 w Empiku i co tydzień tak to kował w gazetowych felietonach, że uwierzyłem w owe teatrum. Nie wiadomo, co się wydarzyło naprawdę, a co przez niego zostało zmyślane.

– Kłamstwo często powtarzane staje się prawdą – wtrącił Niedźwiecki.

– Do tworzenia legend są potrzebni specjaliści. Pisarz, projektant, architekt, słowem artysta niewiele znaczy bez krytyka czy felietonisty – podsumował swój wywód Morawski.

– Gdy widziałem gorzowian przychodzących do Empiku niby po prasę, a w rzeczywistości po to, żeby nam się przyjrzeć, zrozumiałem, dlaczego Tuwim, Lechoń czy Fiszer tak chętnie bywali w przedwojennej Małej Ziemiańskiej – popisał się swoją wiedzą historyczną Świerczyński. Chciał jeszcze dodać, że ten sławny lokal mieścił się w centrum międzywojennej Warszawy, przy ulicy Mazowieckiej, gdy już odezwał się Rzeszewski:

– Tylko raz byłem w kawiarni Czytelnika...

– Przy Wiejskiej, niedaleko Sejmu? – przerwał mu Świerczyński, usiłując popisać się znajomością stolicy.

– ... w tym jednym miejscu zobaczyłem więcej sław niż w encyklopedii popularnej PWN – dokończył Rzeszewski zły na Hirka, że wybił go z rytmu opowiadania. Miał jeszcze ochotę wspomnieć, jaki smak pierogów ruskich, które kazał sobie podać w podwójnej ilości, przylgnał mu do podniebienia. Czy pił kawę, tego nie pamiętał, ale mógł i jej aromatem się pochwalić, bo kto sprawdzi, czym się wtedy delektował?

– A skoroś, Mietek, wspomniał o kawiarni Czytelnika, to przypomniało mi się zdarzenie związane z podobnym przybytkiem w PIW-ie. To renomowane wydawnictwo. O, być autorem PIW-u, to sukces mурowany. „Czytelnik” też się liczył, a jeszcze lepiej „Książka i Wiedza”, tyle że KiW ze względu na powiązania z partią niektórzy pisarze obchodzili z daleka.

– Co z tym PIW-em? – zaciekawił się Niedźwiecki pewny, że wreszcie usłyszy prawdę o wydawnictwie, którego nie lubił. W jego biografii liczyło się przede wszystkim „Ossolineum”.

– Jak wiecie, popełniłem powieść „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy”. Najpierw maszynopis wysłałem na konkurs literacki do Wrocławia. Dostałem nagrodę, co oznaczało, że książka ukaże się drukiem. Jednak „Ossolineum” miało jakieś uwagi sensu politycznego. Artystycznie bez zastrzeżeń. To wysłałem maszynopis do Poznania. Rzecz godna uwagi, z pewnością uzyska zainteresowanie czytelników, odpisali, ale aktualny plan wydawniczy mamy zamknięty. To pchnąłem tekst do Łodzi. Myślałem sobie tak: wydawnictwo w mieście uważanym za kolebkę robotniczej rewolucji ucieszy moja propozycja. Niestety, na razie nie możemy przyjąć niewątpliwie interesującej opowieści o rodzącej się w naszym państwie świadomości klasowej. W Katowicach powinni się znać na sprawach robotniczych, to ja do Katowic. Gdzieś po pół roku grzecznie odpisali, że niezła książka, ale nie widzą mojej powieści pod swoim szyldem. Lublin i Gdańsk pominąłem, od razu wysłałem maszynopis do Warszawy. Dostawali go na biurko

szeffowie prawie wszystkich wydawnictw i wszędzie to samo: rzecz niewątpliwie interesująca, niestety, jeszcze nie nadszedł jej czas. Tak jak wam teraz, sprawę przedstawiłem szefowi PIW-u. Rozmowa była krótka: przyslijcie. Na kopercie zaznaczcie: do rąk własnych adresata. Może po miesiącu jestem na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, spotykam dyrektora PIW-u, a on bierze mnie w ramiona i mówi: świetna, towarzyszu Zdzisławie, powieść. Nie rozumiem, czego ci we Wrocławiu, Poznaniu, Katowicach się bali. Pewnie tylko swoich stołków. W tym roku nie dam rady, ale w przyszłym wydam na pewno. A było to dwa lata przed Sierpniem '80. Dotrzymał słowa. Powieść miała jedenaście recenzji w prasie krajowej, wszystkie pełne ochów i achów. Tylko w Gorzowie przeszła bez większego echa, może dlatego, że nadchodzące lata nie były łaskawe dla tego rodzaju tematyki – zakończył Morawski.

Dłuższa cisza zapadła w zakątku gorzowskim. Wszyscy pamiętali przełom epok, które zmieniły nie tylko Polskę, lecz i świat. Nigdy nie żalowali, że tamte czasy mają za sobą, bo nie wiedzieli, jak naprawdę jest na ziemi po ich odejściu. Od małego wpajano im w Kościele, szkole, nawet przy stoliku nr 1, że każdy musi odejść. Łatwiej jest odchodzić, gdy zostawiło się coś trwałego, co choćby nieliczni będą wspominali po latach. Taki człowiek nie zmarnował życia i nie roztrwonił talentu.

– I ty, Bronek, też tutaj?! – Morawski aż podparł palcami powieki. Nie wierzył własnym oczom. Przecież Słomka był młodszy od niego o dwadzieścia jeden lat, nie pił tyle co Niedźwiecki, prawda, palił za dużo.

– Od maja zeszłego roku tak mnie przerzucają. Najpierw zaprowadzili pod bramę piekła i kazali czekać.

– Każdego tam prowadzą – pocieszył go Rzeszewski.

– Długo i dokładnie sprawdzali, ale nic z tego nie wyszło, bo nie było mnie nawet na liście Wildsteina. To dali bilet do nieba – kontynuował Słomka. – Tu też na żadnym spisie nie widnieje moje nazwisko. Już nie wiedzą, gdzie mnie posłać. Powiedzieli, że gdybym pochodził z Gorzowa, sprawa klarowna, ale ja mieszkałem w Barlinku, a to archidiecezja szczecińsko-kamieńska, w Gorzowie tylko pracowałem.

– Przypomniałeś im, że byłeś redaktorem naczelnym „Ziemi Gorzowskiej” i zostałeś zdjęty z funkcji po tym, jak się postawiłeś towarzyszom? – spytał Niedźwiecki, uważający, że w tej sprawie ma niemałe doświadczenie.

– Myślisz, Witia, że kto jak kto, ale Belzebub czy święty Piotr nie wie, co zrobiłem dobrego, a czego powinienem się wstydzić?

– Zawsze to lepiej, jak sam się bronisz, a nie mówi za ciebie adwokat diabła.

– Mam opowiadać swój życiorys?

– Opowiadać też. Tam – Morawski pokazał na drzwi, przez które święty Piotr wprowadził kogoś z przodu – przede wszystkim musisz odpowiadać na pytania. Na razie odbywa się śledztwo przygotowawcze. W poczekalni każdy robi coś w rodzaju rachunku sumienia, żeby potem na sali rozpraw było rach-ciach. Falszywi do piekła...

– A tacy jak Zdzichu, Mietek, Witia, ja czwórkami wprost do nieba – zatarł ręce z ucieshy Hirek. Dostrzegłszy, że Słomka zmarkotniał, klepnął go przyjaźnie po ramieniu: – Nie martw się, Bronek, odsiedzisz swoje i pójdziesz za nami. Na ziemi tyś tylko czynił dobro, należy ci się więc nagroda w niebie.

– Dlaczego wy tu tak długo siedzicie?

– Nie nadeszły jeszcze jakieś dokumenty z IPN-u. Lustracyjne pewnie – odpowiedział Witia.

Święty Piotr, który znowu spacerował po poczekalni, przystanął na chwilę, przekrzywił głowę i uśmiechnął się zadowolony. Oni wcale nie byli źli, pomyślał, ale przecież jeszcze tego im nie powiem, bo się popsują. Nie ma złych dusz, są tylko złe opinie i sądy.

Jan Gross

AFORYZMY O PRZEMIJANIU

*Za życia był diabła wart. Dziś mówią
o nim świętej pamięci.*

* * *

*Kiedy jego wróg umierał na serce,
kamień spadł mu z serca.*

* * *

Z wiekiem ma się coraz mniej czasu na życie.

* * *

*Teraźniejszość może być przykra,
gdy uświadomisz sobie, że są ludzie, którzy
o tobie mówiliby z radością w czasie przeszłym.*

* * *

*Co jest wiarygodniejsze: życie wieczne
czy wieczne odpoczywanie?*

* * *

*Czas jest najlepszym lekarstwem dla tych,
których jeszcze nie zabił.*

*Pasażer karawanu nie odczuwa przyjemności
z jazdy. Nawet człowiek najbardziej
bezduszny oddaje ducha.*

* * *

*Wśród hien najbardziej obrzydliwe
i odrażające są hieny cmentarne.*

* * *

*Nie wszystkie krzyżyki znikają razem z umierającym
analfabetą. Jeden pozostaje.*

* * *

Na drodze życia nie uda się ominąć przemijania.

* * *

*Po śmierci wszyscy zostają docenieni.
Każdy otrzymuje krzyż.*

* * *

*Życie przypomina pokonywanie toru przeszkód z tą
różnicą, że nikt się nie spieszy do mety.*

Roman Habdas

Wielka Matka gorzowskiej poezji

Szkic o Marii Przybylak

*nazywają nas poetami
a my zarówno wiersze
jak i życie w sobie nosimy
zwyczajnie*

(M. Przybylak – „Bez szpanu”)

*Wczesne słońce przegląda się w Warcie. Wzdłuż torów za-
śmiecona Polska. Kutno witamy przed południem. Przesiadamy
się i dalej w kierunku grodu książąt mazowieckich, przez znany
ze stadniny koni Łąck. Gdy wagony wtaczają się na rozpięty
nad Wisłą most, przyklejam do szyby nos. Po drugiej stronie, na
wysokim brzegu, rozslonecznione mury plockiej historii. Wraz
z panią Marią Przybylak szukujemy się do opuszczenia pociągu,
który właśnie przeskoczył szeroko rozlaną rzekę.*

To był nasz jedyny wspólny wyjazd w Polskę, na wieczór
autorski, który odbył się w Domu Literata, a zarazem w domu
rodzinnym Władysława Broniewskiego. Do Płocka pojechalśmy
na zaproszenie Barbary Ciszynskiej, wtedy bodaj przewodniczącej
Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w tym mieście.

Podróż w towarzystwie pani Marii była przyjemnością.
Zresztą zawsze czułem się przy niej komfortowo, powiedziałbym
nawet, że bezpiecznie jak przy matce. Emanowała nie tylko ser-
decznością i ciepłem, ale wielką ujmującą prostotą. Łączył nas
niewyszukany język, od czasu do czasu przecinkowany żartem.
W wielu kwestiach myśleliśmy podobnie. Zwłaszcza bliski był

nam Pan Bóg, wiara i katolicyzm. Na tym ważnym dla nas zagonie
egzystencji wyjątkowo byliśmy jedną.

W połowie lat 90., kiedy ukazał się mój tomik wierszy,
w podarowanej pani Marii książce ośmieliłem się napisać dedyka-
cję. Zawarłem tam między innymi takie określenie: *Wielkiej Matce
gorzowskiej poezji*. Wówczas odczułem potrzebę uzewnętrznienia
właśnie takiej myśli, gdyż zwyciężyło we mnie przekonanie, że
wśród znanych mi w tamtych czasach gorzowskich kobiet i matek
piszących wiersze nie ma takiej drugiej. Tak życiowo doświad-
czonej i trzeźwo patrzącej na codzienność, na świat, którego i ja
dotykałem. Ponadto pani Maria, która była w wieku mojej mamy,
okazywała się dobronudszą i wielce odpowiedzialną koleżanką.

Obserwując jej charyzmę dzielenia się sobą, swoim poety-
ckim warsztatem z początkującymi wierszopisami (a takim i ja
wówczas byłem), ogromnie podziwiałem ją i darzyłem głębokim
szacunkiem. Spotykałem panią Marię nieomal co tydzień na
czwartkach RSTK-owskich i tam przesiąkałem jej bezinteresow-
nym zaangażowaniem w stowarzyszeniową działalność. Ponadto
– jak obserwowałem – pani Maria nie żałowała siebie na rzecz
szerszego forum kultury dla miasta. A przecież, jak każda kobieta
zajmująca się domem, musiała jeszcze – jak pisze w wierszu
pt. „Poza rutyną” – *W tę noc zrobić prasowanie / bielizna na tę
czynność czekała wiele dni / synowi pocerować przetarty łokieć
swetra / przeczytać trzydzieści stron „Quo Vadis” / od rana stać
w ogonkach, później przy kuchni i dla pietruszki / w ogródku zna-*

leżć czas i dla oczekiwania wnucząt. Znała też smak wyliczonego co do złotówki emerytalnego życia w wiecznym niedostatku.

Ta wieloletnia robotnica karmiona *stilonowskim chlebem* (wiersz „Gniazdo”), która ukończyła zaledwie trzy klasy szkoły powszechnej, posiadała naturalny wewnętrzny dar tworzenia, taką łaskę Ducha Świętego dla poetyckiej wypowiedzi o sprawach szarych, z których zbudowany jest dzień każdego człowieka, ale o których nie jest wszystkim dane napisać z pokorą, w prosty i niewyszukany sposób. Gdy inni twórcy, znani mi zwłaszcza z kręgu gorzowskiego i ogólnopolskiego RSTK (znacznie młodszy od pani Marii), nieustannie narzekali na strzępienie się podobnych dni, ona pokornie cerowała przemilczaniem swoją egzystencję. Nigdy nie wydobywała na forum bolączek swojej prywatności. Półśłowem dzieliła się rozterkami tylko z wybranymi i cierpliwie nosła swoje przedwcześnie owdowiałe brzemię. Znając przeto panią Marię od tej strony, traktowałem ją szczególnie po synowsku i z pełną ufnością przyjmowałem jej wypowiedzi, również krytyczne, kierowane pod adresem mojego pisania. To też wpłynęło na taką, a nie inną zawartą w tomiku dedykację.

Po kilku latach, nie pamiętam już przy jakiej okazji, pani Maria odniosła się do moich w tomiku darowanych jej słów. Powiedziała wówczas, że zrobiłem jej wielką przyjemność pisząc tak a nie inaczej. Mówiła, co czuła, a ja głęboko wierzę, że odebrała wpis z uczuciem, z jakim był przeze mnie pisany.

Jest w gorzowskim Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury, którego Maria Przybylak była współzałożycielką i pierwsza mu prezesowała, zwyczaj, że na odbywających się corocznie Interdyscyplinarnych Warsztatach Artystycznych uczestnicy mówią sobie po imieniu. Na jednym z moich pierwszych pani Maria zaproponowała, bym zwracał się do niej bezpośrednio, na ty. Natenczas jednak trudno mi było przyjąć taką formę. Później, za sprawą częstych wspólnych działań w Zarządzie RSTK, przychodziło mi to łatwiej, zwłaszcza w szczególnych sytuacjach, jakiegoś szybkiego zwrócenia na coś uwagi czy w chwilach wesołości. Tym niemniej zdawałem sobie sprawę, że moje jak najdłuższe trwanie przy pełnym szacunku zwrocie „Pani Mario” pomoże mi szczególnie, by nie upaść w grzeczności jej okazywanej. Niebawem też okazało się, że obrona przeze mnie forma była słuszna. Przekonał mnie wiersz, w którym pani Maria podkreśliła, że sprawia jej przyjemność, gdy ludzie łaskoczą ją zwrotem – Pani Mario. Postanowiłem wtedy trwać w przyjętym nawyku. Zdarzało się jednak, że przegrywałem ze sobą i po prostu... tykałem.

Wspomnienie o Marii Przybylak zacząłem wątkiem wspólnego wyjazdu do Płocka. Teraz właśnie przyszedł czas, bym mógł ów wątek dokończyć, przybliżyć panią Marię jako osobę z krwi i kości, pełną humoru i skora do żartów. Nie o sam wieczór autorski w Płocku chodzi, który miał dobre przyjęcie i recenzję w miejscowej prasie, ale o etap powrotny z mazowieckiej ziemi.

...Za godzinę nasze powieki będzie sklejał stukot kół. Teraz jednak siedzimy w poczekalni dworcowej węzła kolejowego w Kutnie. Czekamy na nocny z Warszawy przez Bydgoszcz i Piłę do Gorzowa. Po lipcowym, upalnym dniu, zbliżająca się północ

owiewa nas chłodem. Siedzimy na pamiętających Gierka ławkach, przy nich podręczne torby. Oprócz nas, w poczekalni jeszcze kilka osób, które w rytm zapowiedzi nadjeżdżającego skądś pociągu, bezzwłocznie ją opuszczają. Został tylko jakiś młodzian skulony na ławce z ręką pod głową i wystającą gazetą z kieszeni.

Wtedy właśnie pani Maria mówi: „Chłodno mi”, a ja obejmuję ją ramieniem i tym gestem zapraszam, by się przytuliła. W tej samej chwili ów chrapiący jeszcze przed chwilą mężczyzna budzi się i zerka na nas, a my intuicyjnie zaczynamy grać parę kochanków. Moje pełne czułości zwroty wyrażają uczucie, są słodkie i na tyle głośne, aby poczekalniany sąsiad wyraźnie je słyszał. Pani Maria bez żenady odpowiada na nie miodem swoich słów. Jak dwie sierpówki nadstawiamy swoje dziobki i cmokamy się, aby jeszcze bardziej upodobnić się do niecodziennej pewnie w tym miejscu pary. Facet patrzy z niedowierzaniem i milczy, w końcu podnosi się, spogląda raz jeszcze i wychodzi. Śmiejemy się do rozpuku. Poczekalnia zostaje tylko dla nas.

Kabaretowa, chwilą zrodzona scena, w jakiś sposób zbliżyła nas jeszcze mocniej. Wkrótce po tym, w gorzowskim klubie „Na Zapiecku” na wieczorze autorskim pani Marii, głębiej uświadomiłem sobie bagaż lat, jaki już dźwigała. Wtedy postanowiłem, że przy każdej okazji wspólnego gdzieś przebywania odwieżę panią Marię do domu. I realizowałem to postanowienie, mój wewnętrzny podarunek.

W lipcu 2005 roku znowu jechaliśmy do Płocka. Tym razem oprócz nas było jeszcze kilka osób z gorzowskiego RSTK-u. Mieliśmy przedstawić koncert słowno-muzyczny z cyklu „Obrazy - Słowa – Dźwięki”. Niedługo po tym wydarzeniu, po powrocie dałem pani Marii swoje wiersze wybrane do tomiku, by je przejrzała i odniosła się do nich jako zbioru. Po upływie bodaj tygodnia pani Maria niespodziewanie pojawiła się w moim mieszkaniu. Po chwili bardzo się rozpląkała. Powodem ogromnego strapienia było zagubienie przekazanych tekstów. Stało się to na przystanku. Gdy nadjechał tramwaj, pani Maria zapomniała zabrać z ławki odłożony skoroszyt. Uświadomiła to sobie dopiero, gdy wysiadła przy pomniku Mickiewicza. Kiedy wróciła z powrotem, teczki z wierszami nie było. Wtedy zaczęła poruszać przysłowiowe niebo i ziemię. Monitowała w rozgłośni radiowej i telewizyjnej, w prasie. Wszystko na nic. Wiersze przepadły. Ostatecznie bardzo przejęta tym, co się stało, odpowiedzialna, jak mało kto dzisiaj, za zagubienie czyjejś własności, przyszła i rozpląkała się. Na szczęście wszystkie teksty miałem zapisane w komputerze i nic się poważnego nie stało, ale ta informacja powinna trafić do pani Marii nieomal zaraz. Stało się inaczej. Sądzę, że kosztowało to panią Marię sporą utratę nerwów. W dwa tygodnie po tym stresującym zdarzeniu doznała udaru.

Jesienią tego samego roku, gdy w stanie ciężkim leżała w szpitalu – my, jako Stowarzyszenie odbywaliśmy kolejne warsztaty w Garbiczu. Tam też, starym zwyczajem, zorganizowano konkurs poetycki z motywem jesieni. Biorąc udział w takim konkursie, na miejscu, rzetelnie piszę wiersz o zastanej rzeczywistości. Tak było i wtedy. Przez kilka dni mocowałem się z tematem. Nie wychodziło mi nic. Ostatniej nocy nadal nie



miałem pomysłu na rzeczowe scalenie myśli, z której urodziłoby się coś sensownego, co dawałoby mi zadowolenie. Wtedy około czwartej nad ranem, po modlitwie do Ducha Świętego, który jest mi niezawodnym oparciem i współzycielem, nieomal jednym ciągiem napisałem wiersz, kierowany do bliskiej, a nieobecnej z nami osoby. Zatytułowałem go „List do Marii Przybylak” i nareszcie spokojny położyłem się spać. Gdy po przebudzeniu przeczytałem go współlokatorowi z pokoju - Szymkowi, miałem... załzawione oczy.

Wieczorem okazało się, że konsultanci literaccy uznali za najciekawszy właśnie ten wymodlony tekst.

LIST DO MARII PRZYBYLAK

Mario

*piszę do Ciebie z Garbicza
gdzie jak co roku
worek wierszy rozpruty
a dnia brakuje*

*Listopad tutaj miłosierny dla nas
to i farby dość gęsto nakładane
schną szybciej za pędzlem*

*Wieczory jak zawsze sceniczne
nabrzmiłe karminem ust
niosą śpiew dziewcząt*

*później już tylko
nocy głębię witamy
przy winie
i rozpruwamy kolejne
wspomnienia
i lata cerowane
z Tobą*

W dobry miesiąc po XXIII warsztatach, 29 grudnia 2005 roku w godzinach przedwieczornych pojawiłem się na tradycyjnym opłatku bożonarodzeniowym organizowanym przez nasze Stowarzyszenie w budynku gorzowskiego MCK. Z minuty na minutę przybywało gości. Zajmowaliśmy miejsca przy stole. Na nim kilka tradycyjnych wigilijnych potraw, pierniki, ciasta, orzechy. Zapalone świece połyskiwały na srebrzystościach stroików. Przyszedł czas życzeń i łamania się opłatkiem. Po zaśpiewaniu kilku kolęd Czesław Ganda wstał i najtaktowniej jak tylko potrafi oznajmił, że Pani Maria w dniu dzisiejszym odeszła do domu Pana.

Nie było mi smutno i nie jest, bo „jak w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy będą ożywieni, lecz każdy według własnej kolejności (1 Kor 15, 23), ale jednak trudno oswojam się z nieobecnością Pani Marii na literackich spotkaniach, po których z przyjemnością i oddaniem podwoziłem ją pod próg domu.

Roman Habdas

Beata P. Klary Poeci! Czytajcie POETÓW!

Mania pisania jest obecnie tak powszechna, że wydaje się, iż wszyscy piszą, a nikt nie czyta. Nieczytanie to ogromny błąd. Dobra poezja bowiem zawsze wypływa z umysłów o szerokich horyzontach, z umysłów dopieszczonych intelektualnie, a najlepszą formą dopieszczania naszych mózgów jest czytanie, zwłaszcza czytanie poezji i prozy z wysokiej półki. Zwróćmy uwagę na Philipa Larkina (1922-1985), angielskiego bibliotekarza, który stworzył fenomenalne wiersze, jednego z najwybitniejszych poetów języka angielskiego. Czytanie tej właśnie poezji od lat poleca Jacek Dehnel - młody, utalentowany, nagradzany, poeta polski.

Maciej Robert tak pisał o Larkinie: *Oto facet, któremu życie załazło za skórę swoją obmierzłą banalnością. Oto facet, który szczerze nie znosił nudy przemysłowych przedmiotów, albumów ze zdjęciami leżących na telewizorze, matek i ich dzieci przesiadających na placach zabaw, mężczyzn w garniturach, którzy co miesiąc z dumą sprawdzają stan konta. A jednocześnie - oto facet, który, dopięty po ostatni guzik, solennie wysiadywał obowiązkowe godziny na urzędowym etacie. A potem miał czelność całą swoją wściekłość i cały smutek egzystencji ładować w ramy wierszy o tak klasycznej budowie, że niektórych mogło to zamroczyć bardziej niż nokautujący lewy sierpowy. Bez potu, krwi i krzyku. Uzbrojony w dyskretną ironię ten hysielec w nienagannym ubraniu elegancko rozprawił się ze światem. Zakradł się na tyły wroga, nie zostawił śladów, nie wziął zakładników. Czysta robota. Wiersze Philipa Larkina to arcydzieła poetyckiej dywersji.*

Larkina na język polski przełożył właśnie Jacek Dehnel, a wcześniej Stanisław Barańczak. Szczerze polecam tę poezję.

SMUTNE KROKI

*Po odlaniu się, człapiąc z powrotem przez pokój
Po omacku do łóżka, rozchyłam zasłony:
Zaskakująco czysty księżyc, pęd obłoków.*

*Czwarta. Pod przepaścistym i ogołoconym
Przez wiatr niebem rzucają ostry cień korony
Drzew. Jest coś pociesznego w tym pośpiesznym kroku,*

*Jakim księżyc pomyka przez strzępiaste chmury —
Kłaki armatnich dymów — wysoko nad domy,
Gdzie, kamienną poświatą szlifując kontury*

*Dachów, trwa absurdalny, odrębny, widomy
Zewsząd — pastylka pasji, kunsztowny, ogromny
Medalion melancholii! O, wyjące chóry*

*Wilków pamięci! Wznosząc oczy, drży się lekko.
Ta twardość, jasność, prosta i dalekowzroczna
Otwartość intensywnie w nas zapatrzonego
Oka budzi wspomnienie, jak dotkliwa, mocna
Jest młodość — niepowrotna dziś i niewidoczna,
Lecz wciąż nie mniej potężna w innych, gdzieś daleko.*

Anna Żłobińska

* * *

Obnażam się w wierszu

*Wystawiam na pokaz
chwilę prawdy*

Odczytaj mnie

STĄPANIE PO SZKLE

*Był taki dzień
kiedy stapałam
po rozbitym szkłe
i nie czułam bólu
gdy wbijało się
w bosc stopy*

*Szłam
za Twym cieniem*

* * *

*Życie moje
jak drut kolczasty
rani przy dotyku*

UMIERANIE MIŁOŚCI

*Minął czas napelniania
wyschło moje źródło*

Miłość umiera

*Chora i zraniona
poddala się
procesowi korozji*

KRZYŻ

*Krzyż ciągnę po ziemi
za ciężki dla niewiasty*

*Często pokładam się na nim
i przybijam myśli*

Rozważam przeznaczenie

I BYŁO WE MNIE...

*I radość była we mnie
I myśli rodziły się o świecie
I siły było tyle co odwagi
I plany sięgały zenitu
I marzenia były do spełnienia*

*I ludzie w samo południe
Zgasili światło*

BYŁAM PTAKIEM

Wyfrunęłam z gniazda

*Odziana w piękne pióra
szybowałam wysoko
coraz wyżej
ponad szumy i ziemskie dźwięki
by smakować upragnionej wolności
Obleczona w świetlistą aureolę
krążyłam po Mlecznej Drodze*

*Zidentyfikowana przez Najwyższego
runęłam w otchłań
budząc królestwo łez*

*Z przygotowywanego do druku
tomu wierszy „Stąpanie po szkłe”*

Beata Patrycja Klary

ROZSTANIE

*Szybko wyparowałeś ze mnie,
choć jeszcze nad ranem
paznokcie przemakały, studnia była pełna.*

*Z niepodanym śniadaniem na talerzu z Miśni,
osiadłeś na mieliźnie.*

Wyschłeś w ręcznik.

ZAMKNIĘTA W SZKLE

*Stara kobieta pachnie gliną,
w której kiedyś noszono mleko.
Podpięta wokół czoła zmatowionym srebrem
tęskni comiesięcznie za dawnym odbiciem.
Kiedyś była blokową Demeter
i w ogniu kaloryfera suszyła spełnienia.*

*Dziś, w ulubionym kiosku,
wykupiono ostatni powiew jej młodości:
Panią Walewską w atramentowej flaszce.*

Karol Graczyk

ZBYT DRZWI

Alicji Łukasik

*Zamknij drzwi. Za nimi masz ciepły kąt, tam kiedyś
masz dużą szansę robić pranie modelowi
dwa plus dwa i nic więcej. Z ustami zupełnie
zamkniętymi na mnie. Właściwie trudno, żeby*

*było lepiej. Zbyt dziko jest po drugiej stronie,
zbyt dużo zimnej stali, ognia też zbyt wiele,
a przecież przez drzwi możemy pogadać przez CB,
zresztą, jesteśmy na długość krótkofalówki.*

*To dużo – pewnie więcej, niż wieszanie
prania czy spostrzeżenie, że od twarzy w dół też
masz pełno włosów, może rzadszych i jaśniejszych,
krótszych, jak zimne stopy skaczące przez dotyk,*

*więc teraz zamknij oczy i drzwi. Nasze zdjęcia
spotkają się na jednym śmietniku. My w piachu.*

Mogilno 30.10.2008

* * *

*człowiek pisze wiersze,
bo nie ma do kogo otworzyć ust
Jaś Kapela*

*Leżymy. Wiemy o sobie tyle, co o kodach
kreskowych. Pięć, dziewięć, zero, zero, trzy...
To musi być coś bardzo ważnego, jak whisky,
paczka fajek, albo my, kiedy cię przytulam*

*jesteś naga jak drzewo, jesteś naga jak drzewo,
kiedy obejmujesz mnie, nie mam na sobie ubrań,
więc po wszystkim idę zapalić i w połowie drogi
uświadamiam sobie, że papieros nie jest mi potrzebny,*

*nie jest mi potrzebna whisky, kody kreskowe
i ty też nie jesteś. Choćbyśmy chodzili za sobą
krok w krok, nie wydepczemy wspólnej ścieżki.
Nie chodzi o to, że nie jestem gotowy, choć*

*pewnie nie jestem. Nie otwieraj mi drzwi
póki przez judasza nie pokażę ci twarzy.*

Pociąg Koszalin – Sulechów 17-18.10.2008

Marek Lobo Wojciechowski

W SOBIE, KATEDRA

*U szczytu – tabernakulum.
Cud jest ciałem, a wszystko
wierne. Odrącone płacze
w odległych korytarzach.
Grosz dla ubogich, grosz
na zaległe rachunki.
Ranka na palcu - daleki krewny.
Nic, rosnące w nieuświadomione.*

*Korekta: ona, nad, z kwiatami.
W pustej sali.*

PŁYŃMY

*Woda tłumi niemrawe ruchy ryb,
mąci światło gwiazd; spływają
w bladych rozmazach, toną*

*na wysokości mostu. O grubym facecie
mawiało się kiedyś: „dobrze wygląda”.
Rzeka - spasiony tłuszczoch, pełen*

*niestrawionych kości. I ten ruch:
nienaturalnie ciągły, hipnotyczny -
nieodcięta pepowina oceanu,*

*pełnego mnogich ja i my, gdzie
tylko zawirowania nurtu odpowiadają
zarówno za jedno, jak drugie.*

NOC, WYNIESIENIA

dla H.

*Ciemne korytarze ulic, nieliczne
punktujące latarnie. Samochody
sennie rzną ostatni warkot.*

*Wczoraj było kilka chwil, kiedy
przez twoje okno widziałem ptaki,
całkowicie zaścielające trawnik:
mnogość migotliwych drgań między
skrawkami zieleni. Nim ustawiłaś aparat, zostały
krecie wzgórkki, zimowe resztki krzewów, nic.*

*Zasypiając, widzę przez moment
błękitną nitkę na twojej skroni, pulsującą
cicho i rytmicznie. Wspinam się po niej
w świt.*

Na jesiennym posiedzeniu Komisja Kwalifikacyjna ZLP zdecydowała o nadaniu pełnych praw członkowskich Irenie Zielińskiej i Karolowi Gierlińskiemu-Parno (dotąd byli kandydatami) oraz Eduardowi Diłanianowi. Redakcja Pegaza składa gratulacje.



Irena Zielińska

Urodziła się w 1956 r. w Gorzowie Wlkp. Poetka i malarka. W twórczości znajduje sposób na rozliczanie świata, w którym przyszło jej żyć. Choć słaba i krucha, czyni to z rzadko spotykaną ekspresją.

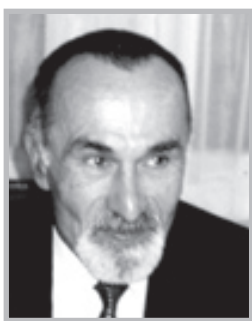
Debiutowała w 1977 r. w miesięczniku „Odra” (Wrocław). Od 1983 r. uczestniczka Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach i Garbiczu. Od 2003 r. kandydatka do Związku Literatów Polskich. Mieszka w Międzyrzeczu.

Debiutem książkowym Ireny Zielińskiej był tom wierszy „Oceania Irenejska” (Gorzów 1998). Drugi tom jej wierszy ma tytuł „Naga rzeka” (Gorzów 2003, WAG Arsenał). „Naga rzeka” nominowana została do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, a w tym konkursie dostała nagrodę za najładniej wydaną książkę w województwie lubuskim w 2003 r.

W 2008 r. ukazała się jej trzecia książka poetycka pt. „Złota cisza poety”, którą Komisja Kwalifikacyjna ZLP uznała za uprawniającą do przyznania autorce pełnych praw członka naszej organizacji.

Wszystkie książki autorka sama ilustrowała.

Jej wiersze wielokrotnie prezentowano w programach radiowych i telewizyjnych. Współpracuje z prasą lokalną („Kurier Międzyrzeczki”) i gorzowskim czasopiśmie literackim „Pegaz Lubuski”.



Karol Gierliński-Parno

Poeta i rzeźbiarz

Urodził się w 1938 r. w Poznaniu. Studiował rzeźbę w WSSP w Poznaniu. Rzeźbiarstwo w drewnie traktuje jako podstawową dziedzinę swojej wypowiedzi artystycznej. Przez pewien czas mieszkał w Wojcieszycach (gm.

Kłodawa). W 2002 r. do ołtarza tamtejszego późnoromańskiego kościoła z przełomu XIII i XIV wieku wykonał drewniane rzeźby, a także do maryjnej kapliczki stojącej przed kościołem. Również jego dziełem jest ołtarz w kościele w Barcinie na Pałukach. Jego rzeźba cygańskiej poetki Papuszy znajduje się w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wlkp.

Od 2001 r. jest posłem do Międzynarodowego Parlamentu Romskiego w Wiedniu i członkiem Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs-Papuszy.

Od 1968 r. związany był z Kołem Korespondencyjnym Młodych Pisarzy przy ZSMP i w tym samym roku debiutował wierszem „Deszcz” na łamach tygodnika „Nowa Wieś”. Miał liczne publikacje w prasie literackiej i w almanachach. Należał do grupy literackiej „Wiry”. Piotr Kuncewicz zaliczył go do wybitnych z grupy literatów mniejszości narodowych zamieszkujących i two-

rzących w Polsce, a notkę o nim oraz wiersz „Mamiori” zamieścił w książce „Agonia i nadzieja. Poezja polska od 1956 r.” t. III.

Wydał:

- „Xaratuno thuv – Odległy dym”, Bydgoszcz 2001
- „Meteory – Siłate Ćerhenia”, Szczecinek 2007

Jego wiersze, a także utwory prozatorskie publikowały pisma jak „Pegaz Lubuski”, „Ziemia Gorzowska”, pisma romskie.

Myśli po cygańsku, ale pisze po polsku, bo jak twierdzi, język cygański ma za mało pojęć abstrakcyjnych, dlatego trudniej w nim niż w języku polskim wyrazić treści poetyckie. Ponadto chce być zrozumiały przez swoich, głównie polskich odbiorców.

Na drugą książkę poety i rzeźbiarza cygańskiego „Meteory” złożyły się miniatury spisane prozą poetycką: przypowieści, opowieści, wierzenia, zdarzenia rodem z kultury cygańskiej, a także wiersze. Przypomniano najlepsze wiersze z debiutanckiego tomiku „Odległy dym”. Ludowy, cygański charakter książki podkreślają liczne ilustracje Krystyny Józwiak-Gierlińskiej, a także typografia pełna różnorodności czcionek i szlaczków.

Eduard Diłanian



Urodził się w 1943 r. w Erewaniu. Pochodzi z armeńsko-rosyjskiej rodziny. Z wykształcenia jest germanistą. W latach, gdy Armenia wchodziła w skład Związku Radzieckiego, był tłumaczem oraz nauczycielem języka niemieckiego na różnych szczeblach kształcenia. Od najmłodszych lat zajmował się także malarstwem. Jest twórcą setek obrazów olejnych, głównie pejzaży i martwych natur.

Na początku lat 90., za sprawą żony Erny, która ma polskie korzenie, rodzina Diłanianów przeniosła się do Polski. W 1997 r. Edward Diłanian znalazł pracę w Sulęcinie, gdzie uczy języka niemieckiego. Do połowy lat 90. nie znał języka polskiego, ale szybko poznał go w stopniu umożliwiającym mu realizację marzenia, jakim było pisanie książek. W 2006 r. wydał „Pytania do Isabelle” – zbeletryzowany zapis zdarzeń, jakie były jego udziałem, a wyrastały z wielkiej miłości zrodzonej w latach wojny. Wydany w 2007 r. zbiór opowiadań „Prawdziwy mężczyzna” dotyczy męskiego dorastania w różnych aspektach dojrzałości. Dwuczęściowa powieść „Kocham cię, Glino” opowiada o dwóch sprawach kryminalnych, które rozwiązuje komisarz Andrzej Hutyra. Towarzyszy mu piękna Agnieszka. Jej najważniejsze słowa stały się tytułem książki.

Eduard Diłanian ma już gotową następną powieść – sagę rodzinną, do której inspiracją były losy jego rodziny w okresie politycznych zmian w Armenii i poszukiwanie nowego miejsca na życie. Obecnie pracuje nad dalszymi losami bohaterów pierwszej powieści – „Pytań do Isabelle”.

W numerze 20 „Pegaza” publikowaliśmy fragment książki „Pytania do Isabelle”, zaś w poprzednim fragment najnowszej, jednej z dwóch opowieści z książki „Kocham Cię, Glino”.

Beata Patrycja Klary

Osobista refleksja powarsztatowa

Idea Międzynarodowych Interdyscyplinarnych Warsztatów Gorzów Wlkp. – Garbicz 2008 to (jak co roku zresztą) wzajemne przenikanie się słowa, obrazu i dźwięku. Taka właśnie mieszanka, w której każdy element odgrywa jednakowo ważną rolę, odpowiada budowaniu pełnej wrażliwości człowieka. Nie każdy musi pisać wiersze, nie każdy musi być filmowcem, plastykiem, ale każdy człowiek winien mieć z tymi sztukami kontakt, choćby od czasu do czasu. Poeta od malarza jest w stanie nauczyć się spojrzenia np. na kolor, a od filmowca – budowania tekstu krótkiego, kondensatu – jak w filmowym pojedynczym kadrze. To przenikanie jest również pożyteczne dla najzwyczajszego obserwatora, czy będzie nim wierny w kościele, czy uczeń na lekcji poetyckiej, czy przybyły na występy gość z widowni. Współbrzmienia, harmonia światła, obrazu ruchomego, głosu, słowa, muzyki rozbudzają wrażliwość. I o to właśnie chodzi.



Fot. Krzysztof Ciesielski

Warto podkreślić, że patrząc na samych uczestników warsztatów, z punktu widzenia psychologii, tegoroczne spotkanie było bardzo ciekawe. O tak! Nader ciekawe. Oczywiście zaraz może paść zarzut, że na tych warsztatach ocenia się ludzi, a nie ich twórczość! Błędna będzie to jednak droga. Uważam, że nie ocenia się ani człowieka, ani jego twórczości. Raczej mówimy tylko – jesteś wśród ludzi – odpowiednio się zachowaj. Staraj się, by z twojej przyczyny innym przypadkiem nie było źle. Wczuj się w sytuację stających na głowie organizatorów i zrozum wszelkie ewentualne niedociągnięcia. Zaświadczyć o swoim człowieczeństwie, nie tylko swoimi obrazami, wierszami, filmami, ale przede wszystkim samym sobą. To właśnie dzięki ludziom – każdego roku pojawia się wśród uczestników warsztatów swoisty duch – duch sympatii, przyjaźni nawet. Ze strony paru osób bardzo mi tego brakowało (zwłaszcza osób, które po raz pierwszy przybyły na to specyficzne spotkanie). Docenić wagę zaproszenia do tak wyselekcjonowanego przecież grona (zaledwie 35 osób) to wielka umiejętność. Niektórzy zdali z niej egzamin na szóstkę, a niektórym noga się omsknęła. Pracujemy więc nad sobą każdego dnia, tak intensywnie jak pracujemy choćby nad wierszami.

A wiersze były tym razem piękne, wyjątkowe, zadziwiające. Choćby te zaprezentowane 19 października w programie „Quo vadis Domine” w gorzowskiej katedrze. Wiersze o przemijaniu, o trudnym dzieciństwie, wiersze mądre, dobre pod względem językowym, wiersze przykuwające uwagę słuchaczy. Takie wiersze, że łza się w oku niejednemu zakręciła, a ksiądz kanonik Zbigniew Samociak rozplątał się w zachwytach. Wyjątkowość chwili podkreślił udział Gorzowskiej Orkiestry Dętej, w skład której wchodzi nauczyciele, absolwenci i uczniowie gorzowskiej

szkoły muzycznej oraz muzyki rozformowanej orkiestry garnizonowej. Obecnie orkiestra wykonuje bardzo bogaty repertuar. Z powodzeniem występuje w salach koncertowych, jak i obiektach sakralnych, w plenerze, na pochodach i paradach. Jest kierowana przez Bolesława Malickiego.

Powróćmy jednak do wierszy. Dzień wcześniej, podczas Nocy Poetów, również ucztą dla ucha. Miło słuchać wierszy mówionych na luzie, w żartach prawie, wierszy wzajemnie sobie dedykowanych – jak choćby Wojtkę Ossolińskiego dla Zosi Mikuły i odwrotnie. Było widać, że tego sobotniego wieczoru poeci świetnie się bawili, że było im przyjemnie. A później wiersze „w piwnicznej izbie” każdego warsztatowego dnia. Prezentowali się nam wówczas: Anna Brzeska (Wrocław), Andrzej Szaflicki (Ostrów Mazowiecka), Maria Żywicka-Luckner (Warszawa), Kazimierz Rink (Tuchola), Kazimierz Tomasz Michalski (Świecie) i ja z Gorzowa Wielkopolskiego. W tym występie fascynująco wypadła Maria – zwana Majką, nasz „lekarz pierwszego stosunku” – z wierszami prawdziwymi, przemyślanymi, z wierszami, które wszystkim polecam! To świetna poezja. Nie myśl jednak czytelniku, że pozostali uczestnicy wypadli źle. Skądże. Każdy piszący ma w swoim dorobku kilka dobrych wierszy i mieliśmy okazję je usłyszeć. Nad kilkoma rozpętała się nawet dyskusja, co świadczy o tym, że słuchacze potrafią mieć własne zdanie i podkreślić, co przypadło im do gustu, jak również przyznać, że jakiś wiersz im się nie podoba, że czegoś nie zrozumieli. Umiejętność zadawania pytań to wielki dar. Ale darem jest również umiejętność przyjmowania krytyki, bo dzięki niej możemy się rozwijać, możemy zobaczyć coś więcej niż czubek własnego nosa. Praca nad warsztatem właśnie na tym polega, że autor zastanawia się nad uwagami, które na temat jego wiersza padają z ust czytelników. Jedna z uczestniczek obraziła się za to, że jej wiersze zostały skrytykowane. Nie przyszła na kolejne spotkanie. To smutne zachowanie.

Praca nad konkursowym tekstem o temacie *Spiritus flat ubi vult* (Duch objawia się tam, gdzie chce) była ciężkim zadaniem. Nie jest łatwo napisać na zwołanie, gdy wena wędruje innymi drogami. Udało się to jednak zwycięzcy konkursu. Kazimierz Rink zabłysnął wierszem FRAGMENT Z KILARA. ANGELUS

*Lesień znowu przez Ciebie bo znikasz świetliściwe.
Jak schnące słoneczniki, ogrody po deszczach
i kartki Twoich wierszy po zmierzchach szeleszczą,
ale gdzieś już porzrzućane, rozmazane mgliście.
Kopci się knot nostalgii. Listów nikt nie pisze.
Ktoś przyniósł wczoraj sweter podrzucony w szatni,
to niby na wieczność pierwsze, zostało ostatnim
i nawet w drzewach za oknem wiatr uwięził ciszę.
Wcześniej powleka dłonie opar porannej wilgoci.
Ciepło flaneli na skórze to już inny dotyk.
Ślania się żagiew świata. Zieleń odpadła z paproci.
Angelus, miał nigdy już nie wrócić. Wraca tamten motyw...*

Lekcje poetyckie w sulcińskim Liceum Ogólnokształcącym były rodzajem wyjścia poetów ze słowem w świat, w świat młodego odbiorcy, który ma swoje problemy i rzadko ochotę



Fot. Krzysztof Ciesielski

na poetyzowanie. Jak się jednak okazało – wierszem można o wielu sprawach powiedzieć, wiele zasygnalizować, tak jak to się na przykład udało Krystynie Woźniak. Ona mówiła swoimi wierszami o zagubieniu człowieka, o bezdomności, o sytuacji dziecka, które nie ma rodziny. Młodzi ludzie świetnie reagowali na takie tematy. Oczywiście wiersze o miłości, erotyki, pobudzały ich wyobraźnię w tym kierunku. A wiersze o grzechu, o wadzeniu się z Bogiem, o walce człowieka z samym sobą – dały do myślenia. Uczniowie byli zachwyceni. Pytali, dyskutowali, choć jak wiadomo wszystko zależy od specyfiki klasy. Myślę jednak, że nikt się nie nudził: ani uczniowie, ani sami poeci.

Z całą pewnością wszystkich uczestników tegorocznych warsztatów oczarowali konsultanci Janusz Koniusz (Zielona Góra) i Nikos Chadzinikolaou (Poznań). Wspaniali ludzie, z którymi można porozmawiać jak z przyjaciółmi. Nie trzymali dystansu, przeciwnie, upraszali o zwracanie się do nich po imieniu. Służyli radą, podpowiadali, pokazywali własne spojrzenie na zbudowane wersy, opisane zdarzenia, nasze prywatne przeciw światu i odczucia. Samą przyjemnością było przebywanie w ich towarzystwie.

Byłam na warsztatach po raz trzeci i znów coś mnie w nich zaskoczyło. Działania malarskie były tym razem wyjątkowe. Możliwość rysowania pod okiem profesora Geno Małkowskiego to ogromna przyjemność. Zmierzenie się z aktem męskim – niezapomniane przeżycie. Takich działań musi być jeszcze więcej. W różnorodności leży atrakcyjność tego typu spotkań.

Wieczór synkretyczny zaskoczył otwartością poetów na nowe formy poetyckiej prezentacji. Rozmowa wierszem, ilustracja muzyczna, zabawa słowem – to wszystko przykuło moją uwagę.

Podobnie jak prezentacje filmowców, którzy pokazali zesłoroczne wspomnienia – choćby etiudę „Czerwony kapturek” autorstwa Sylwestra Turskiego - a także nowości. Opisali oni świat poprzez kadry, dobraną muzykę i słowa. Rewelacyjnie wypadła opowieść o gorzowskim aktorze Aleksandrze Maciejewskim. „Czerwiak” - film dokumentalny Moniki Kowalskiej i Zbigniewa Sejwy podobał się nie tylko uczestnikom warsztatów. Zdobył wyróżnienie podczas IV Międzynarodowego Festiwalu Kina Autorskiego Quest Europe 2008 w Zielonej Górze. Całość nakręcił i zmontował Ryszard Kućko.

Gala podsumowująca warsztaty, na którą zaproszeni zostali sympatycy i przyjaciele RSTK, zakończyła wspólny pobyt w pałacu „Magnat” w Garbiczu. Ciekawym jej uzupełnieniem był wernisaż prezentujący prace plastyczne powstałe podczas warsztatów. Cóż, pozostaje życzyć nam wszystkim, byśmy za rok znów spotkali się na tych jedynych w swoim rodzaju działaniach artystycznych.

Patronat honorowy: Wojewoda Lubuski, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Rada Krajowa RSTK.

Wiersze od przyjaciół „Pegaza”

Ostatnio otrzymałam dwie książki, w szacie graficznej bardzo do siebie podobnej. To seria Biblioteka „Tematu” redagowana przez Dariusza Tomasza Lebiode. Seria wydana w sposób bibliofilski – kredowy papier, twarda okładka, kolorowe reprodukcje. Już samo wzięcie do rąk jednej z książek powoduje dreszcz przyjemności. A co z zawartością? Otóż wcale nie jest gorsza. Przyjrę się tym dwóm książkom (cała seria ma ich już 19) z osobna, zaczynając od **Mieczysława Wojtasika „Maki bardziej niż krew”**. Urodzony w 1941 r. ten twórca to działacz RSTK, członek ZLP, autor zbiorów poezji: „Struna czarnoziemiu”, „Bezpańskie berło



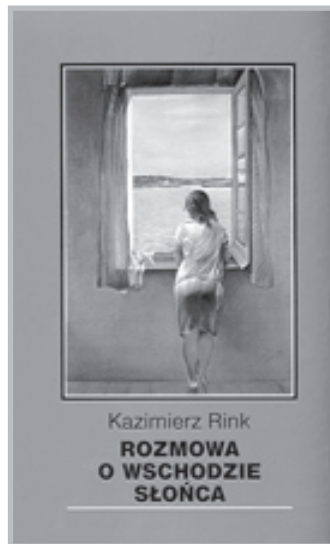
i słowo”, „Żebro metafizyki”, „Jeśli pytasz naprawdę”, „Przez bezładne brzegi”, „Niech ma na imię choćby Kain”, „Po śladach wołania i ciszy”, „Nie pijałem ptasiego mleka”, „Między mitem i kowadłem”, zbiór aforyzmów „A teraz ja” i zbiór fraszek „Run-da dla poddanego”.

Tom „Maki bardziej niż krew” jest zbiorem przekrojowym. Kilka wierszy powstało w latach 50. 60. 80., niektóre są całkiem nowe. Tytuł sugeruje skłonność do tematyki patriotycznej, do odczuć kłębiących się

w kręgu czerwonych maków na Monte Cassino i tak właśnie jest. Wypadki poznańskiego czerwca 1956, przemyslenia wojenne, echa grudnia 1980. Wiersze temu poświęcone nie są najwyższych lotów. Wiadomo przecież, że o tych najtrudniejszych, najbardziej bolesnych sprawach nie jest łatwo pisać. Łatwo o banał, o „skrzydła ptaków zerwanych do lotu”, o „rozgrzane serca”, „słońce marzeń”, o „na proch startą nadzieję”. Tak użyte poetyzmy rażą, choć rozumiem autora, że inaczej nie potrafił. Zapisał, co czuł w tamtych dniach i wówczas zapewne było to przyjęcie. Ale minęły lata i dziś czytelnik, przede wszystkim młody, spodziewa się czegoś więcej. Właśnie tego, co na szczęście, w tym tomie jest w innych wierszach, mniej patetycznych, a bardziej mówiących o doświadczeniu każdego z nas. Choćby „Kantata kujawska o wielkim lecie” czy „Barwy ziemi” mogą się podobać. To zgrabne opisy krajobrazów, z pokazaniem drugiego dna – spraw pokoleniowych i związanego z nimi przemijania. Również te wiersze, które mówią o kobietach, niosą ciekawe metafory i porównania, choćby: „łono w poranek róż wpięte / zwiastuje rozkwitanie / do grobowej deski”; „seks gotował się w niej / i napinał do skoku / jak w otwieranej klatce pantera”. Cały tom, moim zdaniem, jest zbyt mieszany. Nie ma w nim jednorodności. Poetyka surrealizmu miesza się z realizmem, a to wzajemne przeplatanie nie wychodzi wierszom na dobre. Jest jednak kilka perełek i dla nich właśnie warto książkę przeczytać. Tutaj w pełni zgadzam się ze słowami redaktora naczelnego Dariusza Lebiody.

A teraz czas na „**Rozmowę o wschodzie słońca**” **Kazimierza Rinka**. O twórczości tego poety, krytyka, dziennikarza, radiowca, animatora kultury można ostatnimi czasy przeczytać w wielu literackich pismach – choćby w „Akancie” czy w „Temacie”.

Mam przyjemność znać Kazimierza, toczyłam z nim dyskusje poświęcone twórczości i nie tylko. Kazimierz wydał tomy wierszy: „To znowu ja”, „Nasze małe wieczności”, „Wiersze”, „Od świtu do nocy”. Poezja tego autora bardzo się podoba. To wiersze, w których widoczna jest miękkość, gładkość, wyczelowany nastrój, kolorowość obrazowania, bo malachity, czerwienie, brokaty, rdzewienia, seledyny, ultrafiolety, bladeści i „arterie kolorów” wylewają się z tych wierszy. To teksty koloraturowe, z barokowym zdobnictwem – zaznaczmy, że całkowicie celowym (jak podkreśla sam autor). Bo w ten właśnie sposób Rink stara się oddać tęsknotę, podkreślić nutę zastanowienia nad ludzkim bytem, który nierozzerwalnie wiąże się z drugim człowiekiem i wszechobecna naturą. Autor bawi się słowem, igra z nim, tworzy własne „światłości”, błyski, odbłyski, blaski. Taka zabawa podoba się czytelnikowi. Dlatego wiersze te są często nagradzane. Jednakże osoba hołdująca prostocie, formie skondensowanej, ograniczaniu słów, męczy się przy czytaniu wielosłownia i całego „obgadywania rzeczywistości”, zwłaszcza zaś męczy się czytając porównania czy epitety typu: „szelesty cichnących kroków”, „furkoczą pasemka szelestów”, „niedosłyszalność szmerów”, „przedświt farbuję jaskrawym pigmentem”, „mgielki zapatrzeń”, „koraliki zasłuchań” „mdlejące kontury widoków”, „temperą osmużone ścieżki”. Nadużywanie motywu dłoni również męczy – to przecież już tak bardzo wytarta fraza, a czytelnik potrzebuje czegoś nowego. Dłonie: „dłonie ogrzewające szron kubka”, „z garstką popiołu w dłoni”, „poza zasięgiem dłoni”, „dłonie zanurzone w wodach”, „światłoczułość dłoni”, „dłoń maskująca przyczółki”. Obłoków, serc, ptaków – również wiele. Jakby autor nie panował nad swoim obrazowaniem i wciąż się powtarzał. Oczywiście zakładam celowość wykorzystywania tego typu motywów, co nie zmienia jednak przekonania czytelnika (jakim przecież jestem), że przeczytanie jednego wiersza równa się przeczytaniu pozostałych. Każdy musi jednak ocenić sam. Wszystkim polecam sięgnięcie do tej książki, bo nigdy nie wiemy, co w danej chwili nam się spodoba. Czytelnikom, którzy lubią „pociemniałe lasy bukietów niegdysiejszych spojrzeń”, „szorstkie polichromie metafor” czy „polichromie jasných luster słońca” tom ten przypadnie do gustu. Ręczę za to!



Bo w ten właśnie sposób Rink stara się oddać tęsknotę, podkreślić nutę zastanowienia nad ludzkim bytem, który nierozzerwalnie wiąże się z drugim człowiekiem i wszechobecna naturą. Autor bawi się słowem, igra z nim, tworzy własne „światłości”, błyski, odbłyski, blaski. Taka zabawa podoba się czytelnikowi. Dlatego wiersze te są często nagradzane. Jednakże osoba hołdująca prostocie, formie skondensowanej, ograniczaniu słów, męczy się przy czytaniu wielosłownia i całego „obgadywania rzeczywistości”, zwłaszcza zaś męczy się czytając porównania czy epitety typu: „szelesty cichnących kroków”, „furkoczą pasemka szelestów”, „niedosłyszalność szmerów”, „przedświt farbuję jaskrawym pigmentem”, „mgielki zapatrzeń”, „koraliki zasłuchań” „mdlejące kontury widoków”, „temperą osmużone ścieżki”. Nadużywanie motywu dłoni również męczy – to przecież już tak bardzo wytarta fraza, a czytelnik potrzebuje czegoś nowego. Dłonie: „dłonie ogrzewające szron kubka”, „z garstką popiołu w dłoni”, „poza zasięgiem dłoni”, „dłonie zanurzone w wodach”, „światłoczułość dłoni”, „dłoń maskująca przyczółki”. Obłoków, serc, ptaków – również wiele. Jakby autor nie panował nad swoim obrazowaniem i wciąż się powtarzał. Oczywiście zakładam celowość wykorzystywania tego typu motywów, co nie zmienia jednak przekonania czytelnika (jakim przecież jestem), że przeczytanie jednego wiersza równa się przeczytaniu pozostałych. Każdy musi jednak ocenić sam. Wszystkim polecam sięgnięcie do tej książki, bo nigdy nie wiemy, co w danej chwili nam się spodoba. Czytelnikom, którzy lubią „pociemniałe lasy bukietów niegdysiejszych spojrzeń”, „szorstkie polichromie metafor” czy „polichromie jasných luster słońca” tom ten przypadnie do gustu. Ręczę za to!

Beata Patrycja Klary

Niewiele wynika

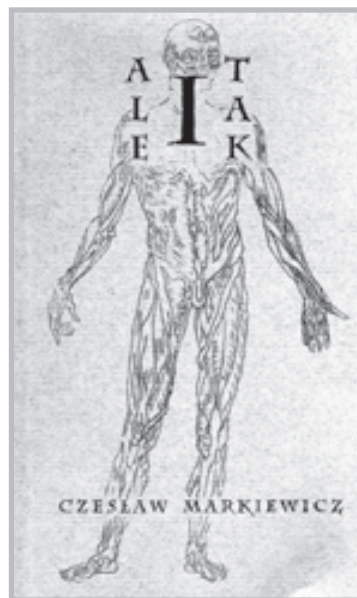
(o tomie wierszy Czesława Markiewicza „Ale i tak”)

Kolejny raz zmuszony jestem zacząć od pewnych tłumaczeń. Czemu? Ponieważ Czesława Markiewicza znam i lubię: fajny facet, elokwentny dyskutant, bogaty w wiedzę człowiek, do tego dziennikarz radiowy, krytyk literacki, poeta, prozaik i eseista. Miałem okazję być na jego spotkaniu autorskim w „Lamusie”,

gdzie z przyjemnością posłuchałem wywodów Autora na tematy różne. Spotkanie zorganizowano z okazji wydania kolejnego tomu Czesława – „Ale i tak”, bodaj piątego w dorobku poetyckim.

No, ale po co te wstępne tłumaczenia? Ano, dlatego że nie mam specjalnie wiele dobrego do powiedzenia o „Ale i tak”. Powiem więcej – nie mam nic dobrego do powiedzenia. Zbiorek składa się z kilkudziesięciu tekstów, z których każdy ma w sobie widoczną sprawność pióra, warsztat na ustalonym, niezłym poziomie i... nic więcej. Kolejne wiersze po uważniejszym czytaniu po prostu rozczarowują, ponieważ kompletnie nic w sobie nie niosą – są sprawnie zapisanymi historyjkami o tym lub owym, ale w zasadzie wszystkie mają ten sam mankament: brak głębszych podstaw do ich napisania.

Markiewicz stara się pisać „nowocześnie” – nie mamy tu wielkich liter, nie mamy interpunkcji, jest tylko szersza lub węższa wersyfikacja – trudno powiedzieć - podyktowana zamysłem autora czy szerokością kartek tomiku. Czesław, oczywiście, zrećnie szermuje archetypami i odnośnikami kulturowymi – nie dziwi to wcale, znając Autora jako człowieka związanego od wielu lat z kulturą i poezją w różnych wymiarach – tym nie mniej w przypadku każdego tekstu, poza tą zrećnościową szermierką w nich zawartą – niewiele z nich wynika. Cóż bowiem mamy np. z wiersza „Rymy”, gdzie czytamy, co następuje: *w oknie / przygotowany do odlotu / brian jones / motyle w parku centralnym umierają / tak samo / jak na wzgórzach piastowskich / elektroniczne sznurówki micka jaggera / żółty zapach nowego jorku / kanciasta soczystość zielonej góry / nieśmiertelna hipostaza / toczących się po parapacie kamieni / martwe muchy / w zielonych płucach amazonii / smród rozkładającej synestezji / wciska się w komory gazowe seattle / nie ma pieśni chwilowy brak słów / w gardło wtlacza się nadwiślańskie błoto / za oknem pada deszcz / milczymy jak przekłęci / the end znaczy ten sam koniec / nawet jeśli nie mówisz w ich języku.*



praktycznie wszystkich tekstów z „Ale i to”. Mamy tu fragmenty pozujące na szczere powroty do przeszłości (Z pokolenia na pokolenie), gdzie możemy przeczytać: *(...) z domu / w którym zamieszkiwałem po długim / milczeniu / wypędzono milczenie / wyrosłem wśród półotwartych serc / i półotwartych oczu / współżyjąc półotwarcie / wśród półprawd i niedotykalnych pamiątek / rodzinnych z klauzulą do użytku wewnętrznego (...).*

Ale i takie fragmenty nie przekonują – raz, że są nieco bełkotliwe konstrukcyjnie, dwa – sprawiają nieodparte wrażenie, jakby Autor chciał powiedzieć: „patrz, zaraz napiszę wiersz, o, już napisałem”. Skądinąd wiem, że Czesław dużo tekstów

wysłała na różnej rangi konkursy poetyckie i, biorąc to pod uwagę, doskonale rozumiem sens i potrzebę napisania tekstów zawartych w tomiku. Oto bowiem doświadczony poeta tworzy teraz wiersze pod określoną publikę, jaką są członkowie jury poszczególnych konkursów. Tam tego rodzaju teksty mają (mniejsze lub większe) wzięcie, napisane są bowiem w ogólnie przyjętej stylistyce, modzie, w myśl panujących trendów - są po prostu *cool*.

I tu czas na pewną refleksję: decyzją pisarza-poety tworzone jest jego miejsce w kulturze; można iść tą drogą, którą prezentuje tomik „Ale i tak” - drogą od konkursu do konkursu - można wybrać inaczej. Wolna wola piszącego. Kwestią pozostaje jednak pewien dylemat: czy warto przechodzić do historii li tylko jako jeden z kilku setek zwycięzców czy wyróżnionych w mniej lub bardziej prowincjonalnych konkursach poetyckich (i, oczywiście - mniej lub bardziej lukratywnych konkursach), czy może jednak zwrócić uwagę na trwonienie talentu (pomijam tu miarę tego talentu), rozmienniania się na drobne, kalkulowania swojego pisania na zasadzie: tam pula nagród jest taka, a tam taka, a w jury zasiada ten a ten, więc napiszę tak... A że talent jest, to rzecz bezdyskusyjna - Czesław na spotkaniu czytał kilka wierszy ze swojego debiutanckiego tomiku - i były to teksty ważne.

No, ale nie mnie oceniać moralną stronę takiego podejścia do pisania. Można tak - można „Ale i tak”.

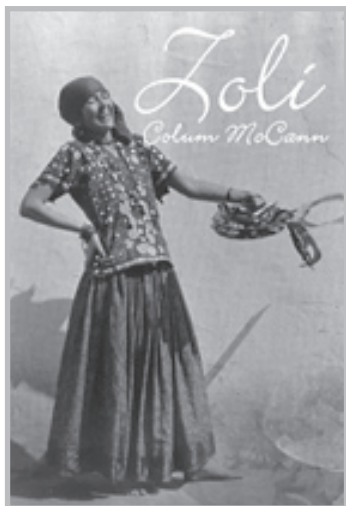
Czesław Markiewicz jawi się nam więc (i nie ukrywa tego, werbalizując tę sprawność przy każdej okazji) w ostatnim zbiorze poezji jako „ekspert od układania słów”. No, niech tam - można przyjąć nawet tak daleko posuniętą autokreację, łącznie z autokreacją na zblazowanego megalomana. Jest w tym wizerunku jednak spore niebezpieczeństwo dla samego autora takiej kreacji - najślawniejszy amerykański architekt XX wieku, Frank Lloyd Wright, powiedział kiedyś: „Ekspert - człowiek, który przestał myśleć. On wie”. I, w świetle tych słów, jest to swego rodzaju problem.

Marek Lobo Wojciechowski

Według Papuszy (Colum McCann „Zoli”)

W Warszawskim Wydawnictwie Literackim MUZA ukazała się napisana w Nowym Jorku książka irlandzkiego pisarza, której akcja dzieje się głównie na Słowacji. Ale inspiracją tej książki stała się biografia Papuszy, cygańskiej poetki, która w Gorzowie mieszkała blisko trzydzieści lat. Tytuł - „Zoli”, a autorem jest Colum McCann.

W wywiadzie dla dziennika „Polska” autor wyznał, że zafascynowało go zdjęcie Papuszy, bo emanowało z niego dostojeństwo i oryginalny styl pięknej Cyganki. Najpierw przeczytał wszystko, co mógł znaleźć o Papuszy w amerykańskiej bibliotece. Potem przyjechał do



Warszawy, nawiązał kontakt z Jerzym Ficowskim, który odkrył i tłumaczył Papuszę. Nie spotkał się z nim, bo Ficowski był już bardzo chory. Podobno także był w Gorzowie. Ale jednak nie w naszym mieście osadził akcję swojej powieści. Przeniósł ją do Słowacji, bo uznał, że tam problemy związane z Cyganami były trudniejsze, a więc bardziej atrakcyjne dla pisarza. Akcja powieści rozgrywa się od 1930 do 2003 r. Z naszej cywilizowanej perspektywy zaskakują warunki życia słowackich Cyganów nie tylko z okresu wojny, ale te współczesne, z ostatnich lat wyraziście i przejmująco pokazane przez autora.

Zoli jest Cyganką wychowywaną przez dziadka w taborze. Jej rodzice tragicznie zginęli podczas wojny. Wcześniej wydana została za mąż za znacznie starszego od siebie mężczyznę. O taborowym życiu, o przyrodzie, o pobratymcach żyjących w wiecznej wędrówce pięknie śpiewała przy ogniskach. W latach 50. odkrył ją poeta i wydawca, przyjaciel Cyganów i zwolennik nowego, socjalistycznego porządku. Towarzyszył mu pewien Anglik (z pochodzenia Słowak) zafascynowany nie tylko cygańską kulturą, ale samą piękną Zoli. To on tłumaczył najpierw na słowacki, a potem na angielski spisane pieśni Zoli. Można przypuszczać, że inspiracją do stworzenia postaci człowieka obcego, ale ważnego dla utalentowanej Cyganki był właśnie Jerzy Ficowski, który taką rolę odegrał w stosunku do Papuszy.

I tu zaczyna się konflikt pokazany na dwóch płaszczyznach: Zoli jest wykorzystywana przez władze do przekonania Cyganów, aby zgodzili się na osiadły tryb życia, wyzbyli swojej tradycji i zaakceptowali socjalizm. A konsekwencją udziału w tego typu działaniach jest wykluczenie jej z cygańskiej społeczności.

My, w Gorzowie, nie mamy odczucia, że Papuszę hołubiono jako rzecznikę nowego ustroju, ale może z irlandzkiej perspektywy tamte procesy widać lepiej? Przecież Papuszę też wykluczono z taboru jako skalaną przez pisanie i kontakty z ludźmi polskiej kultury. Tyle że podobno dość krótko trwało to wykluczenie.

Natomiast Zoli sama rusza w świat, dociera do Włoch, tam ma drugiego męża i córkę, żyje stabilnym życiem. Dopiero po latach wracają cygańskie wspomnienia, gdy jest zaproszona na międzynarodową konferencję w Paryżu. Do romskiego pochodzenia przyznaje się jej córka, działaczka w światowym ruchu na rzecz świadomości etnicznej. Mieszka w Paryżu, w komfortowych warunkach, ale duszę wciąż ma romską, szaloną.

Papusza nie zmieniła swojego życia ucieczką, jak Zoli. Pozostała w swoim kręgu rodzinnym i kulturowym, w swoim taborze, ale za tę wierność zapłaciła wysoką cenę: już nie pisała wierszy, nawet nie pozwalała zapisywać swoich mówionych piosenek, chorowała psychicznie. W latach 70. widziałam ją na oficjalnym spotkaniu w Gorzowie. Była spięta, bardzo zdenerwowana, wyraźnie zagubiona.

Los Papuszy przeszedł do legendy cygańskiej i gorzowskiej. Zastanawiam się, dlaczego żaden z polskich pisarzy w dziejach Papuszy nie zobaczył tematu powieści, a dojrzał go dopiero Irlandczyk. Opowieść o Zoli jest też ważną powieścią o losach Cyganów. My, w Gorzowie, patrzymy na nich przede wszystkim jak na tych, którzy pięknie tańczą i śpiewają. Ale to na pewno nie jest cała prawda. Tak jak nie znamy całej prawdy o Papuszy.

Krystyna Kamińska

Kućko – pejzażysta miasta

Ukazał się piąty album prezentujący gorzowskich artystów w cyklu „Kolekcja 750-lecia”. Wcześniej pokazywały dorobek Jana Korcza, Andrzeja Gordona, Wiesława Strebejki oraz gorzowską kolekcję Władysława Hasiora. Ten album zawiera najważniejsze fotografie Waldemara Kućki oraz obszerny wstęp Macieja Szymanowicza. Zanim o Kućce, parę słów o Szymanowiczu. Maciej jest gorzowianinem, ale miał zaledwie sześć lat, kiedy w 1981 r. nagle zmarł Waldemar Kućko, nie może więc go pamiętać. Na pewno jednak oddziaływała na niego legenda Kućki, gdy próbował swoich sił w GTF-ie. Choć zdobył wiele nagród za zdjęcia, nie zajął się fotografowaniem, skończył historię sztuki, a pracę doktorską poświęcił właśnie historii fotografii. Teraz jest wykładowcą na uczelniach artystycznych Poznania i kuratorem galerii fotografii w Centrum Kultury „Zamek”. Z takim warsztatem naukowym przygotował naprawdę znakomity wstęp do albumu zdjęć Waldemara Kućki. To pierwsza praca sytuująca gorzowskiego artystę w pejzażu polskiej sztuki oraz myśli estetycznej lat, w których tworzył. My cenimy Kućkę jako kronikarza Gorzowa, rejestratora przemian miasta. Maciej Szymanowicz prezentuje go jako pejzażystę miasta, określa, co wzięło od wcześniejszych fotografów miast, co wybierał spośród nowatorskich pomysłów swoich lat, a czym wyprzedził swój czas. Analizuje sposób ujęcia obrazu, kadrowanie, oświetlenie, funkcję horyzontu, miejsce, z którego robione jest zdjęcie, ostrość, grafizację i inne walory artystyczne, podkreślając elementy nowatorskie, własne Kućki oraz już funkcjonujące w ówczesnej fotografii. Wyposażeni w taką wiedzę możemy przejść do oglądania zdjęć pomieszczonych na 160 stronach.

Tu tylko o jednym cyklu pt. „Pokolenia”, który przynosił autorowi najwyższe w kraju nagrody i prawo wstępu do Związku Polskich Artystów Fotografików. Człowiek i maszyna. Maszyny wielkie, przytłaczające, człowiek mały, zagubiony, widoczny tylko w prześwicie maszyny, czasami nawet nie cały, a zaledwie jego ręka, jakby nic więcej się nie zmieściło. Zdjęcia robione były na początku lat 70., gdy Stilon szczycił się najnowszym parkiem maszynowym, nowoczesnymi komputerami, był wzorem socjalistycznego zakładu pracy. Tyle że człowiek w nim malutki. Kućko twierdził, że chce pokazać relacje między techniką a człowiekiem. Ale Szymanowicz potrafi czytać tę myśl przez pryzmat słów Ericha Fromma z tamtych lat: „społeczeństwem przyszłości będzie odczłowieczone społeczeństwo technokratyczne”. Na pewno Waldek bał się takiej przyszłości. Pokazał to swoimi zdjęciami.

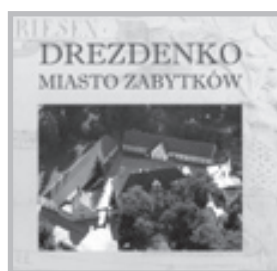
Od śmierci Waldemara Kućki minęło już 27 lat. Przez ten czas zdecydowanie zmieniła się technika fotografii i często nam się wydaje, że każdy potrafi zrobić dobre zdjęcie. Ale dopiero oglądając takie zdjęcia w albumie wyraźnie uświadamiamy sobie, że fotografia to nie ładny, kolorowy obrazek, a osobowość artysty, jego wiedza i uczucia przekazane przy użyciu aparatu fotograficznego. Album poświęcony Waldemarowi Kućce jest – moim zdaniem – najlepszy spośród wcześniej wydanych. Ich wydawcą jest WiMBP z funduszy miasta. Czekamy na następne.

Krystyna Kamińska



Drezdenko – miasto zabytków

„Drezdenko – miasto zabytków” liczy 68 kwadratowych stron, wszystkie w pełnym kolorze, z delikatnym podkładem starej ryciny, ze zdjęciami witraży na kalce, a wszystkie z nałożoną dodatkowo błyszczącą folią. Sam druk sporo kosztował Urząd. Mój zachwyt wzbudzają zdjęcia wykonane przez J. Chełmińskiego i K. Chełmińskiego. Żałuję, że nie podano ich imion. Zresztą, nie tylko ich. Nawet autorzy tekstu pozbawili się ich sami. Teksty napisali: D. Białas, E. J. Weidemann, Z. Marcinkowski i T. Stankiewicz. Zespół redakcyjny stanowili jeszcze Tomasz Iwaszko (z imieniem!), A. Kołwzan i R. Kubiś. Wyliczam ich wszystkich, aby podkreślić, jak wiele osób włączonych było w przygotowanie albumu. Ale zabrakło jednego, najważniejszego: redaktora całości. Punktem wyjścia dla autorów są cztery place Drezdenka: Kościelny, Stary Rynek, Wileński i Wolności, ale nie wiem, w jakiej kolejności powstawały. Następnie autorzy prezentują obiekty przy nich stojące lub położone w sąsiedztwie. Układ w założeniu logiczny, ale ponieważ kolejnymi zabytkami zajmował się coraz to inny autor, mamy bałagan. Wiele powtórzeń, wiele przeskoków, brak proporcji między prezentacją obiektu a jego historią. Po wnikliwym opisie kościołów, ni z tego ni z owego wyskakuje historia szkoły podstawowej, obecnie zajmującej budynek z lat



60., a więc to nie zabytek. Jest długa historia funkcjonowania poczty w Prusach, ale informacja o pięknym budynku poczty, czyli zabytku Drezdenka, ogranicza się do podania daty 1901 r., gdy tu przeniesiono urząd pocztowy. Bardzo pięknie zaprezentowano secesję w Drezdenku.

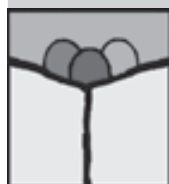
A mnie zastanawia, dlaczego właśnie tam tak okazała się secesja. Zdecydowanie zabrało mi wzmianki, że na placu Wileńskim stoi obelisk w kształcie koła z napisem „650 lat miejskich praw”. To też historia. Ale ważniejsze, że stoi on na cokole, na którym stał pomnik Franza Baltasara Brenckenhoffa, twórcy nowego biegu Noteci, Odry i Warty, człowieka, który miał decydujący wpływ na pozycję miasta, mieszkańca pobliskiego Gardzka. O nim tu ani słowa. Opowieść o zabytkach była pisana przez mieszkańców sercem, ale trochę zabrakło rzeczowego dystansu. No i redaktora, który by ujedynolili opisy i poskreślał powtórzenia.

Krystyna Kamińska

PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.

Red. nac. **Ireneusz K. Szmidt**, z-ca red. nac. **Beata P. Klary**, sekretarz redakcji: **Danuta Zielińska**, współpraca: **Krystyna Kamińska**, zdjęcia: **I. K. Szmidt**, archiwum wydawcy i autorów, wydawcy: **WAG „Arsenal”**, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 95 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, **Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna**, ul. Sikorskiego 107, tel. 957277070, informacja@wimbp.gorzow.pl
Skład komputerowy: **Daniel Besta** 0 694 479 087.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Krystyna Kamińska

Bitwa pod Sarbinowem

W latach 1756 – 1763 toczyła się wojna o dominację w Europie zwaną wojną siedmioletnią. Do walki stanęły Prusy przeciwko koalicji Rosji, Austrii i ich sprzymierzeńców. 250 lat temu, 25 i 26 sierpnia 1758 r. na polach na północny wschód od Kostrzyna nad Odrą rozegrała się jedna z największych i najbardziej krwawych bitew nie tylko tej wojny, ale całego XVIII wieku: bitwa pod Sarbinowem (Schlacht bei Zondorf). Przyjmuje się, że do walki po stronie pruskiej stanęło 36 tysięcy żołnierzy, a po stronie koalicji 44 tysiące. Krwawa bitwa trwała dwa długie dni. Nie została rozstrzygnięta. Obie strony sobie przypisywały zwycięstwo. Zginęło w niej ok. 30 tys. ludzi.

Teren bitwy między miejscowościami Sarbinowo, Gudzisz, Chwarszczany i Cychry znajduje się obecnie w gminie Dębno w województwie zachodniopomorskim. 15 listopada w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy Dębno odbyła się konferencja naukowa na temat tej bitwy. Zasadnicze referaty dotyczyły genezy i jej przebiegu, uzbrojenia, formacji militarnych itp., czyli problemów stricte historycznych. Zainteresowani muszą poczekać na ich publikację w książce. Tu garść informacji o literaturze i plastyce inspirowanych bitwą.

Jeszcze w tym samym roku co bitwa, czyli 1758, w szerokim nakładzie ukazał się anonimowy druk składający się z dwóch części. Pierwsza – to oda chwalcąca Prusy jako zwycięzców, z królem Fryderykiem II na czele. W drugiej znalazły się relacje obywateli Prus na temat ich kontaktów z Rosjanami przed i podczas tej bitwy. Wszystkie ukazują Rosjan jako barbarzyńców, niemal hordę kanibali. Referent tematu - Lech Łukasiuk cytował duże fragmenty tych relacji, które wówczas miały budzić przede wszystkim nienawiść do wroga i mobilizować do walki z nim. W następnych latach Prusy zostały dosłownie zalane rozmaitymi anonimowymi drukami ulotnymi chwalcymi męstwo Prusaków i siejącymi groźbę przed Rosjanami. Na pewno była to przemyślana i sterowana akcja, której inspiracji szukać należy na dworze Fryderyka II. Utwory te nie mają wartości



Obraz Wojciecha Kossaka wisi w Poczdamie, w budynku, dla którego był malowany

artyistycznej, ale ich nagłe i powszechne pojawienie się należy odnotować jako jeden z pierwszych w historii przykładów wykorzystywania literatury do celów propagandowych. O tej bitwie jako temacie w plastyce mówiła Renata Ochwat. Bezpośrednio po niej także bardzo popularne były wyobrażenia żołnierzy pruskich, szczególnie w grafice. W 1899 r. na zlecenie cesarza Wilhelma II Wojciech Kossak namalował wielki obraz olejny o wymiarach 6 x 2,7 metra. W tamtym okresie Kossak mieszkał w Berlinie, gdzie dużą popularnością cieszyły się jego portrety, na których sporo zarabiał. Cesarz zlecił mu wykonanie obrazu ukazującego kontratak kirasjerów generała von Seydlitza na pozycje rosyjskie, który uchronił wojska pruskie przed klęską. Cesarz dał Kossakowi pracownię w swoim pałacu Mon Bijou i śledził postęp prac, które trwały przez rok. Obraz ten zawisł w kasynie Regimentu Korpusu Kadetów w Poczdamie. Kossak nie szczycił się tym obrazem, ponieważ przez współczesnych był oskarżany o gloryfikowanie wroga Polaków. Po wojnie obraz zaginął i nie był odnotowywany w albumach poświęconych twórczości Wojciecha Kossaka.



W latach 80. niezujący już gorzowski dziennikarz Zenon Nowopolski opisał okoliczności jego powstania, a Zbigniew Czarnuch przy pomocy niemieckich przyjaciół odnalazł ten obraz w magazynie w Poczdamie, zrolowany i bardzo zniszczony.

Zainteresował nim władze Landu Brandenburgia. Po przemianach politycznych w Niemczech o budynek koszar Korpusu Kadetów na swoje biura ubiegała się firma energetyczna. Otrzymała zgodę na jego przejęcie, ale pod warunkiem, że opłaci renowację obrazu. Teraz wielki obraz Kossaka można oglądać w tym samym budynku w Poczdamie, dla którego był namalowany. Polakom przekazano reprodukcję wykonaną w stosunku 1:2. Można ją oglądać w dziale Zbiorów Regionalnych Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie.

Fot. Ireneusz K. Szmidt